

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 18 MAJA 1929 ROKU

NR. 20

TREŚĆ NUMERU: Słomiany ogień—*Stefanja Podhorska-Okolów*. Kobiety w dziennikarstwie polskiem — *Jadwiga Kramczyńska*. Dzieci żebrzące — *Ala Maryńska*. Poezje: „Spotkanie z wiosną — *Bronisława Ostrowska*. Zawalidroga (powieść) c. d. — *Herminja Naglerowa*. Skłamane szczęście (dok.) — *M. H. Szpyrkówna*. W pięciowiecze odsiecz Orleanu — *Z. Zawiszanka*. Realny czyn Joanny — *Herminja Naglerowa*. Listy z nad Gangi—*Kamalinu Schrinagamir*. Joanna d'Arc na ekranie—*Stef. H.* Z teatrów—*S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. K. i N. J.* Przedwiośnie wystawy — *Wanda Dobrzańska*. Ceremonjał i formy towarzyskie — *L. Gerlachowa*. Oszczędność — to bogactwo — *M. Dobrowolska*. Letnie przechowywanie dywanów — *Pani Elżbieta*. Z dziedziny ulepszeń i ułatwień — *M. D.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Żaloba — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Tablica kroju.

SŁOMIANY OGIEŃ

Opole, prastara stolica Piastów śląskich, stała się niedawno widownią niemieckich gwałtów nad artystami opery katowickiej i publicznością polską, tłumnie zapelniającą teatr na przedstawieniu „Halki“ moniuszkowskiej. Miało być ono niewątpliwie dla tej publiczności, pozbawionej, poza audycjami radjowymi, polskiej muzyki i polskiego słowa, prawdziwym narodowym świętem. W podniosłym skupieniu wsłuchiwała się w ulubione dźwięki swojskich melodji. Serce w niej skakało w takt moniuszkowskiego mazura. Płakała dusza zgodnie z szumiącymi jodłami Jontka.

Przypomnijmy sobie nasze własne przeżycia, kiedy nas dziećmi „z pod Moskala“ wożono do Krakowa na „Kościuszkę pod Raclawicami“. Wrażenia tych dorosłych „dzieci Śląska“ musiały być do naszych podobne. Odświętne, uroczyste, niemal że nabożne. Aż tu nagle na rozspiewane piersi i gardła artystów, na rozmarzone, zasłuchane głowy widzów, spadła, jak lawina, niemiecka pięść. Twarda, brutalna, okrutna. Bito artystów, bito publiczność. Rzucano cuchnące bomby na widownię. Łżono, katowano, poniewierano. Z zaciekłością niszczone instrumenty muzyczne. Niech wiedzą polacy, jak ich artystów przyjmuje ojczyzna Bacha i Beethovena! Niech im odejdzie ochota do odwiedzin w krainie barbarji! Niech popamiętają germańską kulturę, słynny niemiecki porządek, przysłowiową pruską systematyczność!...

Systematyczność!? Tak! właśnie systematyczność. Bo myliłby się, ktoby sądził, że ma do czynienia z brutalnym, żywiołowym odruchem tłumów. Była to planowa zasadzka. Opera katowicka przyjechała do Opola za specjalnem zezwoleniem władz niemieckich.

Nie wtargnęła pocichu, nie przemyciła się ukradkiem. Wystąpiła jawnie, z całą słowiańską otwartością i ufnością, w dobrej wierze przyjmując z trudem uzyskane pozwolenie śpiewania dla swoich, na ziemi swojej, choć od wieków pod obce panowanie zagarniętej. Działając lojalnie, daleka była od konspiracji. Przeciwnie — to władze i ludność niemiecka były zakonspirowane.

Bo kiedy przed teatrem w Opolu zaczęły się gromadzić tłumy, przyjmując wrogą postawę wobec zdążającej do teatru publiczności, to wówczas policja niemiecka miała dwie drogi do wyboru: albo zawiesić przedstawienie, albo otoczyć teatr kordonem i nie dopuścić do gwałtów. Nie uczyniła ani jednego, ani drugiego — wybrała pilatową metodę umycia rąk — była nieobecna. Nie kiwnęła, jak to się mówi, palcem, żeby zapobiec dzikim harcom rozwydrzonego hultajstwa. Pozwoliła tłumowi wyładować nienawiść.

Jak zareagowało społeczeństwo polskie na te objawy pruskiej metody? Poważnie, dostojnie, z godnością. Pochody i wiece studenckie w Warszawie były utrzymane na poziomie wysoce kulturalnej manifestacji. Ton rezolucyj wiecowych brzmiał poprawnie, niemal że kurtuazyjnie. Jakby Wersal protestował przeciw wybrykom hołoty. Nasza młodzież akademicka chlubnie zdała egzamin dojrzałości politycznej i... dobrego wychowania. Jej postawa, pełna spokojnej godności, niewątpliwie nie w smak poszła niemieckim szowinistom. Nie dlatego, żeby odczuli, jak należy, ten policzek, wymierzony ręką w rękawicze. Ale poprostu dlatego, że manewr prowokacyjny spa-

lił na panewce. Taka doskonała okazja na nic! Żadnemu Hansowi nie pomacano żeber, żadnej Grecie włos z głowy nie spadł. A ileżby można konsekwencyj wyciągnąć z najlżejszego choćby czynnego odwetu! Jak rozdmuchać naturalny zresztą odruch samoobrony do rozmiarów planowej kampanji, zagrażającej bytowi mniejszości niemieckiej pod „jarzmem” polskiem! Jak z wilka przedzierzgnąć się w baranka, z napastnika w ofiarę niewinną!

Nic z tego, panowie hipokryci! Tylko pierwsza część waszej „komedji dell'arte” się udała, ta, którą odegraliście w Opolu, za jedyne rekwizyty mając kije i pałki, łamane na głowach polaków. Ale reżyserja drugiego aktu wymknęła się wam z ręki. I niewiadomo jeszcze, jaki będzie epilog tej sztuki o krwawym prologu. Bo wszystko mniejwięcej można przewidzieć, kiedy się ma do czynienia z tłumem, doprowadzonym do szału oburzenia, rozpalonym do białości gorączką zemsty. Tłum jest, jak zwierzę: trątuje, niszczy, masakruje, wreszcie wyrzeczy się, zmęczy i... wraca do swego korytka.

Rzecz się ma zgola inaczej, gdy na widownię występują zorganizowane rzesze. Gdybyż chciały się wyładować w jakimś jednym krzykliwym, jaskrawym ekscesie! Byłoby dużo huk, dymu, zamętu, w rezultacie fizyczne zmęczenie, duchowa chryпка i... status quo. Ale one nie biją ludzi, nie tłuką szyb, nie obrzucają reprezentantów obcego państwa zgnilemi jajami, ale uchwalają rezolucje. O! to już znacznie gorzej. To zakrawa na coś poważnego.

I gdyby nie przysłowiowy słomiany ogień, gdyby nie to, że polacy doskonale umieją redagować protesty, ale z urzeczywistnieniem ich nigdy się nie kwapią, gdyby nie to, że daleka u nich jest droga od słowa do czynu — kto wie, czy za opolską masakrę niemcy nie zapłaciliby milionami? Kto wie? Narazie możemy stwierdzić, że cała strona reprezentacyjna protestu wykonana była bez zarzutu. Ceremonjał pierwsza klasa. Ale my przecież jesteśmy zawodowymi mistrzami i miłośnikami parady i gali. Gdybyśmy ten sam zapał, tę samą precyzję, zechcieli włożyć w codzienny, szary, nie obliczony na efekt, ale owocny czyn! Gdybyśmy umieli zamknąć granicę dla niemieckiego importu, nie przez cła, zakazy i kordony, nie drogą urzędową, ale drogą bezwzględnej bojkotu społeczeństwa. Ale, jak naprawdę wyglądają u nas wszelkie bojkoty? Jak typowy faryzeusz, świętoszek, co gorszy się byle czem, a pocichu grzeszy, ile wlezie. Niejeden, czy niejedna wyprzysięga się niemieckiego towaru, a milczkiem kupuje w sklepie niemiecką pończochę, czy tasiemkę, bo tańsza od krajowej. Kupuje czasem świadomie, czasem półświadomie, bo przecież

przezorny kupiec nie pochwali się zakazanem źródłem, a woli trzymać artykuły przystępne w cenie i pokupne, niż zamulać sobie półki droższym i mało pociągającym wyrobem krajowym.

Gorąca propaganda przemysłu krajowego wywołała narazie objaw charakterystyczny dla naszych stosunków. Jak za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej znikły ze sklepów plomby i kompromitujące napisy: Made in London, Paris etc. Czy to znaczy, że towary zagraniczne zastąpiono naszymi? Broń Boże! Przystosowano się tylko do gustu publiczności, zacierając umiejętnie ślady. I dawniej i dziś konsument kupuje zawsze tylko kota w worku.

Ileż to razy zmieniała narodowość nasza swojska, pocziwa tafta! Wyrabiali ją jeszcze przed wojną niemcy i żydzi w Łodzi, — sprzedawano ją w chrześcijańskich i żydowskich sklepach, jako taftę francuską (krajowej niktby nie kupił). Trwało tak długie lata. Raptem jeden bal pod hasłem polskiego jedwabiu naturalizował mniemaną francuzkę. De facto nic się w jej pochodzeniu nie zmieniło. Po dawnemu fabrykują ją łódzcy niemcy i żydzi, ale nazywa się już teraz „polska tafta”.

Człowiek, skłonny wierzyć wszystkiemu, co mu chcą wmówić, wogóle nie miałby w Polsce czego bojkotować. Przecież wszędzie są tylko towary krajowe! Z błyskawiczną szybkością powstały nowe, przedtem nieznanne u nas gałęzie przemysłu! Polskie jedwabne pończochy, polskie egzotyczne słomki na kapeluszech, polskie pióra strusie, polskie futra, polskie płaszcze „Burberry”, polskie...

Możebyśmy już raz zamknęli tę listę nonsensów! „My, słowianie, lubimy sielanki”. Ale handel — to nie idylla. Handel — to żelazny system i żelazna konsekwencja. Nie przełamie go, ani nie zmieni do rażne, choćby najbardziej wymowne hasło. Tu trzeba pracy u podstaw, u fundamentów, samo wywieszanie sztandaru na dachu nie wystarczy. Żeby kupować polskie towary, trzeba je nie tylko mieć, ale trzeba wiedzieć, że są, i trzeba stworzyć takie warunki produkcji, żeby ten towar był lepszy i tańszy, niż zagraniczny. Ale my naprawdę nic nie wiemy. Nasza wytwórczość, z małymi wyjątkami, jest przedziwnie zakonspirowana. Historia łódzkiej tafty nie jest wyjątkiem, a może być zbawienną nauką. Czas już narzeczcie porzucić niewczesne sentymenty i podejść do naszego życia ekonomicznego od strony jego realnych wartości. Wtedy dopiero przestaniemy sami ze sobą grać w ciuciubabkę i będziemy mogli zdobyć się nie na fikcję bojkotu, ale na rzetelną własną wytwórczość.

Stefanja Podhorska-Okolów.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

KOBIEТЫ W DZIENNIKARSTWIE POLSKIM

Gdy byłam niedawno w Pradze na zjeździe komitetu wykonawczego Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy, ktoś postronny zapytał mnie:

— Czy u was, w Polsce, kobiety na serjo pracują w dziennikarstwie?

— Jakto „na serjo“?

— Czy piszą i redagują coś więcej, niż feljetyony o modzie i gospodarstwie? Bo u nas, dziennikarki przeważnie bawią się literaturą...

Nietylko na podstawie osobistej znajomości stosunków, ale dzięki ankiecie, jaką dla działu pracy zawodowej kobiet na Wystawie Powszechnej w Poznaniu przeprowadziłam, przy uprzejmem pośrednictwie Syndykatów Dziennikarzy, mogłam nieświadomemu rzeczy cudzoziemcowi przytoczyć fakty i szczegóły, które zresztą i dla wielu w Polsce będą rewelacją.

Oto, jak się okazuje, około 50 kobiet, współpracowniczek redakcyj pism codziennych, zalicza się do zrzeszeń zawodowych dziennikarskich, stanowiąc mniejwięcej 8 proc. ogółu zorganizowanych dziennikarzy. To znaczy, że kobiety te pracują dobrze i pożytecznie pod względem zawodowym i w warunkach, które nie są niewątpliwie ani łatwiejsze, ani lepsze od warunków pracy dziennikarzy-mężczyzn.

W jakich działach pracują współpracowniczki pism codziennych?

Nie sięgając do pierwszych pisarek w dawnej prasie, nieodróżnionym i obejmującej wszelkiego rodzaju perjuryki i wydawnictwa o charakterze publicystycznym — ograniczymy się do współczesności i tylko do jednego jej wyrazu: dziennikarstwa codziennego, wyodrębnionego dziś warunkami pracy, zadań i techniki od pism tygodniowych i specjalnych.

Pierwsze kobiety, jakie weszły do redakcyj pism codziennych przed kilkudziesięciu laty, były zatrudniane przedewszystkiem, jako tłumaczki prasy zagranicznej, sekretarki redakcji, feljetonistki mody i gospodarstwa kobiecego. Rola ich była pomocniczą, i jakkolwiek mogła być bardzo pożyteczna i doniosła, nie wychodziła nazewnątrz i zbliżona była do pracy literackiej przy biurku.

Dopiero stosunkowo niedawno spostrzeżono się, że kobiety mogą być doskonałymi reporterkami, że bardzo dobrze pełnią pracę informacyjną, że w różnych dziedzinach życia są bystremi obserwatorkami i że nie brak im zdolności i energii w pogoni za nowościami dnia oraz w walce o idee, o żywe wartości społeczne.

Z tą chwilą, gdy praca dziennikarek przeniosła się także na teren żywego, bieżącego życia, stała się bardziej samodzielna, bardziej ceniona i pożądana w nowoczesnym dzienniku, a zarazem dała pole do

wyrobienia i zaznaczenia poszczególnych indywidualności.

Typowa praca dziennikarza, reportaż, bezpośrednio zdobywanie informacji, praca interesująca, żywa, wymagająca wiele trudu, zręczności i inicjatywy, pozwalająca w pełni wyczuć tętno zawodu dziennikarskiego — stała się ulubionym zajęciem szeregu dziennikarek najmłodszego pokolenia. Kobiety robią reportaże z życia miejskiego, są sprawozdawczyniami na zjazdach, zebraniach, obchodach, uroczystościach o charakterze politycznym, społecznym, artystycznym i t. d. Robią „wywiady“ (interview) z osobistościami aktualnymi, wysyłane są tu i tam, jako korespondentki specjalne, i t. p.

Stanowisko sekretarza redakcji, wymagające obowiązkowości, systematyczności i umysłowego wyrobienia, dość często powierzane jest kobietom. Według przeprowadzonej ankiety, przynajmniej 10 dzienników polskich ma sekretarki kobiety. W dalszym ciągu chętnie wykorzystuje się pracowitość kobiecą dla tłumaczeń z prasy zagranicznej, depesz etc. W tym dziale mamy conajmniej 10 specjalistek. Literatura, sztuki piękne, teatr, kino — stanowią pole pracy również 10 dziennikarek. Kronika miejska w dwu dziennikach jest układana przez kobiety.

Trzy dziennikarki są sprawozdawczyniami sejmowemi, jedna pełni interesujące funkcje sprawozdawczynie sądowej.

Sport ma także swe specjalistki — w Warszawie znane są dwie.

Na stanowisku korespondentek zagranicznych są dwie poważne dziennikarki: jedna pracuje w kraju dla pism amerykańskich, druga w Paryżu dla dzienników poznańskich.

(Pomijam tu wszelkie przygodne korespondentki i specjalistki oraz literatki, pisujące bądź do pism codziennych, bądź do tygodników i miesięczników. Uwzględniam wyłącznie stałe współpracowniczki pism codziennych).

Oczywiście, referentkami spraw kobiecych w dziennikach są kobiety — zależnie jednak od wymagań, charakteru pisma i skłonności osobistych traktują one te sprawy bądź, jako wyłączną dziedzinę mody i kuchni, bądź, jako zagadnienia społeczne. W ostatnich paru latach w szeregu dzienników stołecznych i prowincjonalnych wprowadzono specjalne tygodniowe „przeglądy kobiece“, które jednakże — przyznać trzeba — zaledwie w 3 na jakich 15 wypadków stoją na poziomie dość kulturalnym. Naogół składają się z banalnych feljetonów, ciekawostek, „kącików“, mody, kosmetyki i przepisów kuchennych.

Dzienniki, które nie prowadzą osobnych „działów kobiecych“, uwzględniają jednak w ostatnich latach coraz obszerniej różne dziedziny życia, związane ze stanowiskiem i działalnością kobiet: gospodarze, obyczajowe, społeczne. Ma to niewątpliwy związek z rozwojem czytelnictwa wśród kobiet, z ogólnym rozwojem wpływu kobiety w społeczeństwie — i wreszcie z działalnością dziennikarek, które coraz liczniej napływają do prasy codziennej.

Publicystki, pisujące w prasie codziennej, okazują przeważające zainteresowanie dla spraw społecznych, politycznych i kulturalnych. Zwłaszcza sprawy społeczne takie, jak opieka społeczna, zdrowie, higiena społeczna, praca, wychowanie, ochrona kobiety i dziecka — znajdują w piórach kobiecych gorące poparcie. Wśród dziennikarek-publicystek mamy nazwiska znane i taletny świetne: możnaby ich,

w tej chwili czynnych, doliczyć się blisko do 10 (nie licząc znowu pism specjalnych).

Jeśli chodzi o kwalifikacje pod względem wykształcenia, to na podstawie ankiety stwierdzić należy, że około 30% dziennikarek ma wykształcenie wyższe, reszta — średnie.

Skala zarobków jest bardzo rozległa, naogół jednak utrzymuje się na poziomie płac męskich.

W organizacjach zawodowych i koleżeńskich dziennikarki biorą udział, świadczący o zaufaniu i życzliwości ogółu kolegów.

Senjorką dziennikarek polskich jest p. Bronisława Neufeldówna, współpracowniczka redakcji „Epoki“ w Warszawie. P. Neufeldówna, ceniona specjalistka w dziedzinie przekładów z języków obcych, obchodziła już 40-lecie swej nieprzerwanej pracy dziennikarskiej.

ALA MARYŃSKA

DZIECI ŻEBRZĄCE

Dziesiąta wieczór. Elektrycznie oświetlona gardziel kinematografu wyrzuca tłum. Po prawej stronie wypływ ludzkiego potoku zaczyna o niewidzialną przeszkodę. Tworzy kotłowiska, wygładzane naporem następujących.

Wydobywa się stamtąd fałszywy, donośny głosik:

— Proszę pana! 10 groszy na tramwaj. Bo się boję piechotą do domu iść... Proszę pani!...

Przy ścianie chłopiec. Sześć - siedmioletni może. Rezolutny. Śmiały, czarne oczy.

— Nie mam drobnych — troszczy się zaczepiona.

— Wydam pani — odpowiada nieoczekiwanie mały.

(Początek kariery żebraczej).

Wyciąga garść srebrnych i miedzianych monet.

— Ile pani dać?

— Zbierasz na dorożkę — śmieje się „pan“. Patrzy w brudną piąstkę.

— Nie na dorożkę — woła inny. — Zbiera na auto. Na dorożkę jużby mu starczyło.

Gaszą blask odważne oczy. Drobną ręką prędko wpycha skarb w wąską kieszeń.

Zaczepny głosik więźnie w gardle:

— Tata roboty nima... Tata „mie“ zbije, jak nie do domu nie „przyniesie“...

„... pan kazał z domu iść —

Poszła. Z mostu skoczyła —

na zawsze przestała być“ — słyszę, schodząc ze schodów. Ktoś śpiewa przed domem ostrym, urywa-

nym raptownie, donośnym głosem. Dziewczyna? Dziecko?

Na podwórku, wąskim, jak studnia, głębokiem, jak studnia — chłopiec. Mały. Bardzo mały. Sześć lat najwyżej. Smutny. Zniechęcony. Skończył piosenkę i patrzy w oczy - okna wszystkich pięter czworoboku murów. Otworło się jedno. Mignęła jakaś głowa. Czyjaś ręka wyrzuciła monetę na asfalt podwórka. Jeszcze jedno okno i pieniądz.

— Zawsze tak mało dostajesz?

— Czasem więcej. A czasem to nic, prosze pani...

— Kto ci tak kazał chodzić?

— Mama kazała. Mama leży. Chora... A tatę my pochowali. W to lato...

W zagłębieniu murów — nieruchomy, duży, 12-letni może chłopak. Skulił się. Wtulił w mur. Ma na sobie jakieś stare ubranie. Na nogach wielkie, dziurawe buciska, z których wyłazą sine palce. Podają mu pieniądz.

Bierze go jakoś niezgrabnie. Spostrzegam, że w obu dłoniach zaciska mocno paczki zapalek.

— Zapalki sprzedajesz? Trzeba chodzić. Wolać. Krzyżeć. Nikt nie wie, że sprzedajesz zapalki.

— Policjant nie da — proszę pani...

— Tak nie nie sprzedasz.

— Kiedy muszę. Siostra nie zarobi na wszystkich..

Przekłeta nędza, bezrobocie i wszystko, co sprawia cierpienie!

Co robi „Opieka Społeczna“ z dziećmi żebrzącymi?

BRONISŁAWA OSTROWSKA

SPOTKANIE Z WIOSNĄ

(Z TEKI POŚMIERTNEJ)

Czeremchy mokre, kasztanów lepkie listki,
 Podmuch wiosennych burz —
 Przemienie wszystko i znów ponuróci wszystko
 I cóż?

Trzeba układać rymów gałązeczki skrzydlate,
 Nie wstydzic się uśmiechów, ni łez,
 Sprzedawać wiosny — jak zieloną salate,
 Jak bez.

* * *

Na gałęce pod listkami
 Szary ptaszek się kołysze
 I radośnie strzyże ciszę
 Błękitnemi nożyczkami.

Strzyże wszystkie moje smutki
 Metalicznym, dźwięcznym zgrzytem
 Pod listkami i błękitem
 Ptaszek szary i malutki.

Jeszcze, ptaszku, jeszcze, jeszcze,
 Potnij smutki, potnij zdrady,
 A gdy sam już nie dasz rady —
 Weź na pomoc polne śmierszczę.

O K W I T

Wszystkie sady kwitnące ścięto na bramy triumfalne
 O, jakież będą owoce, kiedy przyjdzie lato upalne?

O, nie będzie owoców! O, nie będzie czerwonych czereśni!
 Nie odświeżą nam warg spieczonych zerwane w kwieciu zamcześnie!

W białych płatkach miśniowych, zdeptanych stopą zwycięska,
 Wiosna naszego triumfu jest lata naszego klęską.



HERMINJA NAGLEROWA

4)

ZAWALIDROGA

(Powieść)

Można tak rozważnie kierować nożycami, aby oszczędzić kilka centymetrów jedwabiu, a jednocześnie wywoływać tamte, nieprzyjemne sprawy. I dopiero wołanie Marty wyrwało Zofję z przytomności pracy i nieprzytomności szczęścia.

Może nawet nie przeraziła się tak bardzo, jak to się zdawało Frankowi, ale po jego odejściu pozostała jeszcze chwilę w przedpokoju, w którym trwał huk zatrzaśniętych przez Franka drzwi. Marta jeszcze obcykiwała swoje spostrzeżenie i głupkowato złośliwym śmiechem dopowiada coś, co było przykre i upekarzające. Gdy Zofja wróciła do pracowni, gdy znowu pierścienie nożyc wpily się w palce, a jedwab cieniutko i żałośnie zaskwierzał, pomyślność dnia przechodziła już w fazę trwóg i niepokojących przecuć.

Jakgdyby ktoś niecierpliwymi rękami rozgrzebał worek rupieci, jakby już z pasją dogrzebywał się do samego dna! Zofja wiedziała teraz, że, mimo jej ochronnego „systemu“, wszystko tkwi w niej i nie jest naprawdę skończone, czy wyrzucone dla swojej niepotrzebności. Przerazało raczej to, że istnieje powtórzenie pewnych spraw, a ich podobieństwo, czy nawet tożsamość można stwierdzić, niby dowodem osobistym. Znając tę okrutną prawdę, która bywała manjactwem mistyków, albo upartym aprioryzmem filozofów, Zofja wiedziała już, że nieprzytomne gorączki chłodną, czyjaś bliskość staje się daleka i obca, a rozpacz, choć już dziś wystygła i skamieniała, mogą być sercu ciężkie, jak ramionom zmęczenie po pracy.

Uzbierały się przecież takie powtórzenia w życiu Zofji, ale dopiero, gdy przychodziło nieszczęście, porównywała i zestawiała jego groźne podobieństwo z tamtem, dawnym. Bo zio bywało niemal zawsze jednakie, taksamo bezwzględne i nie dające się naprawić. Przypomniało się teraz odrazu wszystko ciężkie a powielekroć przeżyte i złem przecuciem, jak pięścią, waliło w serce. Trzeba się było poprostu ratować przed nadchodzącą rozpaczą i kłamliwie oburzać:

— Dobrze, niech sobie jedzie do ojca! Niech go tam sobie zatrzyma kochany papuś!

Słowa te leżały jakby powierzchu i pokrzepiały właśnie swoim prostactwem. Dodała jeszcze:

— Niech się nim nacieszy, skoro podchowałam mu syna na takiego dryblasa!

Więcej i szczyżej oburzało podobieństwo syna do ojca. Bo jakby niepostrzeżenie odbywało się tu to czarodziejstwo, że z dnia na dzień Franek wyrastał na miarę wzrostu swojego ojca, a twarz syna mode-

lowała się na wzór tamtej twarzy. Tak samo ściemniały włosy, kiedyś jasne, prawie białe, tak samo sprościł i zaostrzył się nos. Był podobny, był może raczej taki sam. I jakby bez związku z całą sprawą podobieństwa, pomyślała, że teraz nie mogłaby już podać nieszczęściu, że nie przetrzymałaby go resztką swojej młodości.

Na krótki moment Zofja przeżyła to najstraszniejsze: — jasnowidztwo! Wiedziała, co się stanie, wiedziała napewno. Ale natychmiast samozyczliwość uczyniła ją cichą i pokorną, taką, jakim zapewne był Hiob w modlitwie. Wzruszona i prawie spłakana, przebierała w dobrych słowach, które podchodziły bez wyboru, — że nie się złego nie stanie, nic nie zmieni, że przecież pojutrze będzie tu Jerzy, a wszystko inne jest tak mało warte.

Zmierzch, który w pracowni zapadał wcześniej, jakby wepchnięty wysoką ścianą domu z naprzeciwka, zaplątał się między rzęsy i osmolił powieki ciepłą lepkością. Na chwilę stało się tak dobrze i życzliwie, że Zofja uśmiechnęła się sobie samej. Nawet przerażliwy dzwonek telefonu nie roztrącił pocieszonych myśli. Marta krzyczała do tuby telefonu, jakby rozmawiała z głuchym, a potem zdyszany z alteracji głosem oznajmiła, że Franek kazał bardzo przeprosić, ale na obiad nie przyjdzie. Spotkał się z kolegami i pewnie tam święcą maturę. I jeszcze kazał powiedzieć, że nie jedzie jutro do Kaliniec i wogóle tak postąpi, jak zechce matka.

Zofja powiedziała: — Dobrze, już dobrze! — ale właściwie był jej w tej chwili obojętny i wyjazd Franka i to jego wylamanie się z porządku dnia. Jakby rozsiała się w mgłę tęsknoty, jakby już nie była dzisiejsza i sobie samej prawdziwa.

Marta mówiła:

— Bo wogóle ten wyjazd, proszę pani. Przecież we dworze jest ta jakaś panna i wcale nie wypada, aby Franeczek widział takie rzeczy!

Odpowiedź Zofji szemrała jeszcze wciąż uśmiechem:

— Może widzieć, może wszystko widzieć. Jest już taki duży, że powinien zrozumieć i ojca i mnie.

Ale, mówiąc tak, wcale nie była przekonana, że Franek potrafi zrozumieć, jak się kocha, jak tęskni i jak się oczekuje z radością i — lękiem.

IV.

Kategoryczność Franka nie ostała się wobec spraw, które mu narzuciła — ulica. Nie poszedł wcale na pocztę, aby nadać telegram do ojca, bo najpierw,

przechodząc obok składu papieru, przypomniał sobie, że przyrzekł Jadzi kino, a parę kroków dalej spotkał Karola, który szedł do teatru na próbę.

Gdy się łyło z Karolem, nie miało się już własnych myśli. Młody aktor zasypywał gadaniną nawalną, jak deszcz. Teraz zwłaszcza, gdy był przejęty nową (wielką!) rolą i oczarowany sztuką (rewelacyjną!) młodego poety, nic nie zdołało powstrzymać jego wymowy. Jak z akumulatora tryskały iskry uwielbienia dla dyktatorskich zarządzeń reżysera. Gorzał, poprostu, wszechentuzjazmem. Gdy mówił, mocno, po aktorsku rozchyłał wargi i ujawniał zaciekle, duże zęby. Bulweczka nosa skrzyła się kroplami potu, a oczy, wkopane w głębokie doły, wykonywały zadziwiające brewerje.

— Chodź ze mną do teatru, zobaczysz, jak to się robi wielkie rzeczy!

W teatrze brudne szmaty kulis ziały nudą i cuchnącą farbą. Franek stanął przy jakimś drewnianem cudactwie. Nogi ugrzęzły w węzowisku lin, a nad głową powiało pustką niedostrzegalnej wysokości.

Kilka osób dreptało leniwie wśród żółtej mgły półmroku. Wszyscy wydawali się drobni i niepokaźni. Głowy ich były niby szare makówki. Na pace obok budki suflera siedział autor, łuskając szybkami binokli. Karol wskazał go dyskretnym gestem, niczem bóstwo na ołtarzu.

Frankowi zdawało się, że, tak tu spiskowo ukryty, zobaczy coś niepojętego. Pewnie te po scenie rozlażle postacie skupią się w węzeł i pewnie skrzykną się w wielki głos te szmery słów.

Ale próba szła ciężko. Ten i ów dźwignął jakiś niezrozumiały frazes, ktoś inny odrzucił mu chropawy kamyk słowa. Wtedy zabierał głos reżyser i gwał-

tował długo zniecierpliwionym dyszkantem. W binoklach autora lśnił zamarzły blask.

Przyszła wreszcie długa tyrada, którą wygłaszał Karol. Zaturkotało głucho i gładko, niby koła na asfalcie. Czasem przeciągle jęknęło, jak w studni. Czasem trzaskało, niby buty, nabijane gwoździami.

— To wyrzucimy! — rozkazał reżyser.

— Nie, nie zgadzam się!

Franek zadrżał. Jak kłaśnięcie z bicza, wpadł protest między gładkie, ustawione głosy aktorów. To przemówił sam autor.

— Ale to jest konieczne, Konradzie, dla dobra sztuki.

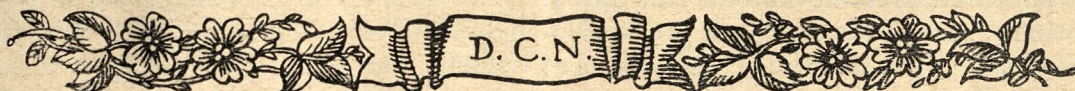
— Zgadałem się dotąd na wszystkie poprawki, skreślenia, przedstawiania. Na to nie mogę!

— Zrozum, że niema na całym świecie tak baraniej publiki, któraby mogła wytrzymać tyle kilometrów poezji!

Rozpoczęła się żarliwa prelekcja reżysera, której autor wysłuchał, pokornie milcząc. Lecz, któżby się spodziewał? Zaledwie reżyser wysapnął ostatnie słowo, autor oświadczył stanowczo, że nie pozwoli wyrzucić ani sylaby, raczej cofnie sztukę. I dramatycznie wstał z paki.

Reżyser musiał więc ustąpić, ale przezuwając złość, nie raczył nawet słuchać siekaniny Karola. Autor sam podszedł do aktora i coś mu tłumaczył szerokim, niezręcznym wiosłowaniem ramion.

Incydent był raczej śmieszny i już nie było powodu do nabożnego lęku. Wrzask dyskusji przemienił wszystkich w pospolitych ludzi i można teraz było słuchać uważnie, a nawet lekceważąco krzywić się na te rymy koślawe, na słowa napuszyste i kaznodziej-
skie.



M. H. SZPYRKÓWNA

171

SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

— Niech się jaśnie panienka, chciałem mówić: pani baronowa, tem więcej nie troska! Stary jestem, niedołężny, nacobym się tam w drodze przydał? Zostanę! Dopinuję, co będzie można, a w razie czego—dam znać! Potem, jak Bóg pozwoli, może i ja tam się przypytam? Jaśnie panienka rozejrzy się, rozważy, napisze... A Dorotka dobra dziewczyna i zdrowa: będzie poręczniejsza!

Ale Dorotki postanowiłam nie zabierać. Na leśniczówce każda nowa osoba była i kosztem, i kłopo-

tem; zresztą, czyż sama nie mogłam wystarczyć dla Hanuśki, zwłaszcza przy Marcinowej, która odcho-wała i mnie? Przytem, wysłałam natychmiast babuni dwa tysiące telegraficznym przekazem, z jednym słowem od siebie: — Przyjeżdżam! Oszczędność była aż nadto wskazana, i pocóż miałabym płacić dziewczynie i pensję i drogę przez całą Polskę? Miała więc odejść do rodziny, a na wypadek mego powrotu, godziła się wrócić także. Franciszek pozostałby za klucznika, zaopatrzony w zasób pro-

wjantów i pewną ilość pieniędzy, czekając na dalszy los.

Jechałam! Od tej chwili zaczęłam gorączkowo się pakować. Pakowałam nie tylko to, co miałam zabrać ze sobą, ale i wszystko, co zostawało, aby można było nadać wprost na bagaż. Ze sobą zabierałam tylko niewielki paniński kufer, z mojami i Hanuśki podręcznymi rzeczami i ubraniem. U barona zostało tylko parę garniturów bardziej wysortowanych i trochę drobiazgów toaletowych na gotowalni. Nie kazałam Franciszkowi nic ruszać: Waclaw zapewne jakoś po to się wcześniej, czy później zgłosi. Za tydzień postanowiłam wyjazd i napisałam do babuni odpowiednią pocztówkę. Przez cztery dni pakowałam z Dorotką bez wytchnienia. A piątego dnia stało się coś, co było niejako ostatnim aktem mego dramatu, odsłonięciem dla publiczności, kiedy bohaterka jeszcze nie wiedziała o niczem.

* * *

Tego ranka — było to w lipcu — wstałam około ósmej i dość długo zajęta byłam przecieraniem sreber wyprawnych, które postanowiłam przez ostrożność zabrać ze sobą. Robiłam to w sypialni. Kosz, otwarty i do połowy spakowany, ział paszczą na środku pokoju. Obok, u Dorotki, dwa inne były naszykowane, a rzeczy, zwalone na kołdrze obok, czekały na swoją kolej.

Nagle szybkie, potykające się, starcze kroki Franciszka, który widocznie biegł, zwróciły moją uwagę. Co się stało? Poszedł był do wsi po masło. Czyżby już wrócił? Zanim zdążyłam wyjrzeć, wpadł. Był cały roztrzęsiony, bez czapki, z latającą szczęką. Daremnie usiłował złapać słowo.

— Niech panienska zamknie kufer... i na kolej! Zamówiłem woźnicę, zaraz będzie... Niech prędko Dorota ubiera Hanuśkę! Trzeba jechać, bo zabiorą! Wszystko zabiorą! Przy gminie cały wiec, krzyczą, pomstują... Niech ręka Boska... Pan baron!

Chwyciłam go za rękę.

— Co baron? Przyjechał? Jest tam?

Trząśł głową, nie mogąc mówić.

— Pan baron... strzelił do żandarma! Zagranicą. Do gminy przyszło zawiadomienie... Ponoć coś sfałszował przy kartach. Aresztowali go, chciał się odbić... Wołają, że siedzi w kryminale, że ponabierał ludzi, że pozabierają mu tu wszystko, co jest w domu... Żydzki pomstują. Zaraz tu się zwali cała zgraja... Panienko, proszę zaraz jechać do kolei z Hanuśką i co droższymi rzeczami! tu ludzie spadną, jak kruki, zanim władza wejrzy, a potem kto będzie dochodził? Albo to sami się obronimy? Zapłaciłem woźnicy zgóry dwadzieścia złotych, zaraz podjedzie... A krzyk, a wygrażanie, a pomsta Boża... Jezu Nazareński! i że to na jaśnie panienkę! Jezu... Srebra... do koszyka...

Zatchnął się i padł na krzesło, nawpół żywy. Chwilę stałam oniemiała. Strzelał! Fałszerstwo w ka-

tach? Aresztowany — przyjdą, rozgrabią... Jak wir, leciały przez mózg oszalałe myśli. I nagle jedna wybiła się na wierzch, jak czerwony snop: Hanuśka!

Ratować! Rzuciłam się, jak strzała do okna. Dorotka już biegła do mnie z małą.

— Proszę pani, woźnica przyjechał, powiada, że zaraz ma jechać, jeśli żeby na pociąg! O Jezu, a dokądże to? A Hanuśka bez śniadania... A pani jak ten papierek biała, a cóż to się dzieje na świecie!

Coś jej powiedziałam, bo w parę chwil Hanuśka była ubrana w płaszczyk. Drżącymi rękami pakowałam srebra do koszyczka. Woźnica i Franciszek znosili naprędce zamknięty kufer przez kuchenne wejście.

Nagle Dog z wściekłym ujadaniem rzucił się do okna i, wyskoczywszy na gazon, popędził ku bramie. Znieruchomiałam. Daleki, zmieszany gwar wielu głosów doleciał mnie, jak zapowiedź burzy. Krew mi uciekła do serca. Jak to się zrobiło? Co to... będzie?...

Franciszek, trzęsący się, wpadł do pokoju.

— Panienko, proszę iść! proszę stąd aby iść! To holota, chamy, nie oszczędzą żadnego słowa, a kto wie, czy któryś nie pchnie i nie uderzy! Proszę jechać na dworzec, ja zostanę. Co można będzie, obronię, a jak nie.. byleby te rzeczy własne panienki ocalić, bo oni pytać nie będą! O Jezu, zabijają psa! Panienko, prędszej, na Boga! prędszej! Walizkę zniosę! Od Doroty proszę wziąć chustkę, żeby się zakryć. Są! Już są!

Przemocą porwał mnie za rękę i powlókł na kuchenny ganek. Dorotka, wystraszona, z jeszcze bardziej wystraszoną i płaczącą Hanuśką, siedziały na wózku. Kosz stał obok woźnicy, walizka w nogach. Myślałam, że zemdleję, tak się czułam złodowaciała. Zwalizłam się raczej, niż usiadłam na siedzeniu obok niani.

— Dziecko schować i okryć się szalami!... — Trzeba będzie wymijać bramę przed frontem, to lepiej, żeby nie poznali! O mnie proszę się nie troszczyć, co tam! Stary.. Niech Bóg... Niech Bóg...

Woźnica zaciął konie. Chwyciłam się mocno poręczy, drugą ręką zaciskając na kapeluszu szal, aby nie było go znać. Okrążyliśmy pałac — i wjechaliśmy na drogę przed sztachetami, z której było widać gazon i taras. Dog leżał martwy na gazonie. Tłum ludzi kłębił się, wrzeszcząc i krzycząc, przy ganku. W jakiejś ręce zobaczyłam stoliczek Hanuśki, w innej — lustro z toalety. Ktoś włókł rozsypującą się stertę bielizny. Na oknie mego pokoju ktoś właśnie zeskaکیwał na dół, z pluszowym Burusiem mojej córeczki w ręce. Cztery łapy niedźwiadka bezradnie sterczały do góry, jakby wołając o pomoc. W środku ciżby na stopniach do drzwi, Franciszek, stary, siwy, z rozwianymi włosami, stał, rozkrzyżowując ramiona, i coś przekładał wyjącom ludziom. Nagle przestałam go widzieć. Fala runęła wewnątrz.

Wzdrygnęłam się cała aż do szpiku kości i, zasłoniwszy oczy Hanuśce, która płakała i wydierała się z pod chustki Dorotce, przestałam niejako czuć. Pamiętam tylko, jak wózek podrzucało po szosie i jak nie mogłam rozewrzeć szczęk, kiedy mnie pytano na dworcu, dokąd właściwie chcę, aby mi dano bilety? W mózgu świdrowała jedna uparta myśl:

— Sfałszował karty. Strzelał do żandarma. Sie dzi w kryminale. Mój mąż! Mój mąż! Mój mąż!

Odtąd zostały mi już tylko strzępki.

Płacząca Dorotka, która mnie całowała po rękę, biorąc jakieś pieniądze, a potem się rozplynęła we mgle. Płacząca Hanuśka, którą kołysałam i układałam spać. Nieskończenie kojący rytm pociągu w nocy. Pustka pod czaszką. A potem odrazu, bez przejścia — ganek leśniczówki z babunią, postarzałą i schyloną, która idzie ku mnie z wyciągniętymi rękami. I starczy, coraz bledszy, coraz większy strach w oczach, narazie rozjaśnionych, jakimi na mnie patrzy. Stoję bez ruchu z Hanuśką, która spi. na rękę, otulona szalem Dorotki. Kapelusz mi spadł i leży na walizce, obok kosza, który chłop, przywiozłszy mnie ze stacji, postawił na ziemi i odjechał. Nie płaczę, ale nie mogę nic powiedzieć: tylko patrzę na babunię oczami, które są obce i ogromne w obcej i pobladłej twarzy. Widziałam tę twarz w lustrze w pociągu i bezwzględnie nie była moją: nieslubna matka, z dzieckiem wracająca do domu, mogłaby wyglądać tak, jak ja. Przedemną i za mną jest zupełna pustka: we mnie — tylko chłód. Żyję mechanicznie, żeby miał kto nieść Hanuśkę.

Z niezmiernej dalekości, która jednocześnie trwa wieki, babunia dochodzi wreszcie do mnie. Suche, starcze ręce ujmują moje ramiona i słyszę przy sobie przerywany przerażeniem, dobry, drogi głos:

— Hanulko, dziecinko, co... to!... Co ci to, kruszyno? Jezu najśłodszy! napadli ciebie może po drodze? Bóg miłosierny! Powiedz, kruszyno, przemów! I dzieciątko! Hanulka nasza, Matko Najświętsza! Marcinowa! Marcinowa, proszę tu prędko iść!...

Marcinowa biegnie z-pozza drewni drobnymi kroczkami. Plaszce w ręce, żegna się, słucha, rozumie. Odbiera mi Hanuśkę i niesie, utykając, do domu. Robi mi to gromną ulgę: czuję, że spełniłam jakiś ciężki nad siły obowiązek, że teraz oto Hanuśka bezpieczna — i mogę przestać być. Opadam odrazu w sobie, jak zmiękła wata. Obsuwam się na murawę, gdzie stoję, głowę mam na stopniu ganeczka. Babunia, płacząc, mówi do mnie i usiłuje podnieść. Nie może jednak, więc tylko siada na stopniu i trzyma mi gło-

wę, aby się nie tłuła o drzewo. Nie słyszę, co mówi, bo mam na myśli tylko jedną jeszcze sprawę na świecie: powiedzieć. Patrzę więc z wysiłkiem na babunię, aby zrozumiała, jak mi zależy na tem, co mówię, i powiadam wyraźnie, ale bezdźwięcznie, jak głuchoniemi:

— Babuniu, wszystko nieprawda. Całe moje szczęście było skłamane. Całe moje życie było skłamane. Ożenił się ze mną, bo liczył na posag. Teraz jest aresztowany, jako oszust i bankrut. Rzeczy mi zabrali ludzie, których oszukał. Nie przysyłałam wam nic, bo nie miałam nawet na buciki. Wstydziłam się przyznać do prawdy. Wszystko było skłamane, całe życie, które nie było z wami! Przywiozłam tutaj Hanuśkę. Pieniądze... za stanikiem... To wszystko, co... będziemy miały... Teraz już będę mogła... nareszcie umrzeć... Babuniu, byłam zła i to... za karę. Trzeba było żyć tu... kochałam Janka...

Zamykam oczy i milknę. Gdzieś daleko w przestrzeni, jak cudowne widzenie, wiewają przedemną ciemnoniljowe, pachnące wiosną i rosą, kiście bzów i ad kamiennym krzyżem naszego starego cementarzyka. Świadka moich dziecinnych zaręczyn. Ciemne, poważne oczy Janka znowu patrzą na mnie z odległości lat, a cichy z przejęcia głos mówi dawno zamilkłymi słowami:

— Aniu! A ty, czy będziesz mnie także kochała? Czy nie zapomnisz o mnie tam, w mieście? Połóż rękę na tym krzyżu i powiedz! To będzie tak, jak przysięga!

I dziewczyna z długimi warkoczami na zalotnych ramionkach fartuszek skrzydlatego, jak jej piętnaście lat, kładzie rękę na szarym kamiennym krzyżu pod kwitnącymi bzami i głosem drżącym troszkę z przejęcia i radości tak dorosłej chwili, ślubuje tamtym szafirowym oczom, gorącym pierwszą męską już miłością:

— Przysięgam, że ja także kocham tylko Janka i że wyjdę za niego zamaż, kiedy będę zupełnie dorosła. A teraz, Janku, prawda?... jesteście już prawie, jak zaręczeni! Czy powinnam ciebie teraz pocałować?...

* * *

Kamienny krzyż chwieje się — czy dlatego, że nie dotrzymałam przysięgi? — i mam wrażenie, że ciężkie, szare odłamy wałają się na mnie ze wszystkich stron, przywalając tłoczonym ciężarem wiosenny rozkwit mego życia — rozkwit, sprzedany za garstkę szychu i cierni, zwany przez ludzi: karjera. I zapadam w wielkie, szare, bezmarzenne Nic.

KONIEC.

Z. ZAWISZANKA

W PIĘCIOWIECZE ODSIECZY ORLEANU

Zdarzyło się raz na świecie coś dziwnie podobnego do bajki. Święci z rajy rozkazali młodzietkiej chłopskiej dziewczeczce zabrać głos decydujący w najważniejszych sprawach bytu państwa, jąć się miecza i mężów zbrojnych poprowadzić do boju — kazali jej uwolnić twierdzę, oblężoną przez angielskiego najęźdźcę, i włożyć koronę na skronie królewskiego dziecka. A ona, uwierzywszy im, natchnęła ufnością w tę misję niebiańską kraj cały, wojsko, lud... popłoch rzuciła na wroga — i szła, jak anioł wojny sprawiedliwej, od zwycięstwa do zwycięstwa — ucząc naród, klęskami demoralizowany od wieka, że niemasz niepodobieństwa tam, gdzie jest odwaga, wiara i samooddanie.

A było to przed 500 laty, we Francji, w takiej chwili, gdy nikt już prawie nie wierzył, by się ona zdołała podźwignąć ze straszliwych ciosów, zadanych jej przez wojnę stuletnią.

Joanna d'Arc nie umiała czytać, ni pisać — ale umiała rozstrzygać w sposób niezawodny najbardziej skomplikowane zagadnienia polityczne swego czasu: umiała oceniać ludzi i działać na nich, jakby magnes,



Ingres: „Joanna d'Arc“

mobilizując w ich duszach wszystko obecne, nawet podświadome, dobro. Potrafiła dostrzegać jasno cele jutra ponad głową dnia dzisiejszego — sama niezłomnie chcieć, drugich przekonywać i porywać — przekreślać drobiazgi w imię rzeczy wielkich — miała więc wszystkie cechy charakterystyczne prawdziwego „męża stanu“.

Wodzem nikt jej nie mianował. Sama wzięła sobie w pierwszej potyczce pod murami Orelanu, 4.V. 1429 r., władzę absolutną nad duszą wojska, moc rozkazu, który powiódł do zwycięstwa, wbrew planom i zarządzeniom komendy oficjalnej. Czy to nazwiny nadziemskim natchnieniem, czy genjuszem wojskowym — to postaci rzeczy właściwie nie zmienia... Dziewica Orleańska uwolniła na własną rękę ten gród, który ją pierwszy powitał burzą entuzjazmu, niby w jasnowidzeniu — gród, nierozzerwalnie spojony z jej imieniem, wierny jej aż poza śmierć, przez ciąg pokoleń.

I na własną rękę, w stałej walce z intrygami dworu, z inercją niedołęznego króla — doprowadziła go, poprzez ryzykowną kampanję wojenną, do upragnionej koronacji. Ten akt dopiero uwieńczył orężne powodzenie zrozumiałem dla całej Francji, tradycyjnym stwierdzeniem praw monarszych młodego Walezjusza.

Tu się kończy wszelka niejasność i rozterka, podcięte są korzenie rozdwojenia w narodzie. Lecz małoduszność i zdrada pozostają, przyczajone w cieniu, gotując się do odwetu poziomej ludzkiej natury za nadmiar boskiego porywu, co ją samą uniósł na chwilę ponad codzienne możliwości.

Trudno osądzić, czem się srożej pomściła na bożej posłance obrażona płaskość karłów: czy kajdanami i ciemnicą więziennego lochu, obelgami angielskich żołdaków, złowieszczą kazuistyką śledztwa Inkwizycji, a wreszcie płomieniami stosu — czy też długimi miesiącami przymusowej beczynności, co tamto męczeństwo poprzedziły. Zaiste, torturą był także pobyt na płochym, małodusznym dworze, wśród zbytku i zaszczytów — na dworze, gdzie już wszyscy umęczeni byli czynem, syci zwycięstwa, które tak łatwo roztrwonić, nieciekawo zgoła dalszych planów, na zew do nowej walki wzruszający ramionami... Torturą i przekleństwem — bo załamaniem nieuchronnym — była chorobliwa apatja Karola VII, podłość i głupota jego zauszników.

Cichy spisek wszelakiego tchórzostwa, lenistwa, zawiści, krótkowzrocznego, małodusznego rozumkowania — skazał na śmierć Joanną d'Arc, bóstwo wojska i ludu, opatrnościowego wodza Francji. Trzeba było dopiero męczeństwa, by nad tym spiskiem za-

triumfować — widać trzeba było, skoro właśnie potem król staje się tym monarchą, mężem i rycerzem, którym go Joanna zawsze widzieć pragnęła.

Ostateczne wypędzenie Anglików (w 22 lata po spaleniu Joanny), odbudowa i mądre zagospodarowanie wyniszczonego kraju — przypieczętowało jej dzieło, lecz go nie zamyka. Nieprawdopodobna postać dziewiczej rycerki, wiecznie przytomna ludzkim

oczom, krystalizuje zwolna wokół siebie francuską świadomość narodową, wykwitającą z feudalnej ideologii średniowiecza — przetwarza ją przez wieki i doskonali, prowadząc ku najwyższemu ideałom ludzkości.

Czyż było kiedy, na krwawym polu polityki i wojny, coś, coby tak bardzo zbliżało ziemię do nieba?...

HERMINJA NAGLEROWA

REALNY CZYN JOANNY

Wojna długa i nużąca szła poprzez kraj, niby długotrwała słońca jesienna. I jak podczas szarugi, przędło się niespokojne, męczące bajanie o tem wszystkim, co się dzieje w odległym świecie i w stronach najbliższych. Jakieś ostateczne wydarzenia, jakieś, niedające się już odrobić, klęski szumiały w tych nieprzydatnych słowach. A czasem w krzyku wewnętrznej trwogi przybliżała się już sama sprawa wojenna, aby żelazną pięścią stłumić dech życia.

Bo w owych rycerskich czasach padało na ziemię z jękiem — nierycerstwo ducha.

Bo i jakaż była ta ziemia, która górami nie odgradziła, rzekami nie umiała zatrzymać nieprzyjaciela? Jakże to były te grody i zamki, które grubemi cielskimi basztami nie podolały zwinnemu mrowiu obcych najeźdźców, a okienkami obronnych murów mrugały, niby ślepy, którzy nie widzą nadchodzącego niebezpieczeństwa?

Po miastach i miasteczkach w ciche południe podnosił się nagły wrzask przerażenia i jakiś obłąkany żołnierz-maruder wbiegał na rynek, ze zgrozą wojny w szeroko otwartych oczach. Więc niedoliczony zdawał się dzień do końca swoich godzin, gdy dzwony kościołów szarpały się, jak ręce w niewolnych pętach, i cichły, nie mogąc podoleć przemocy powszechnego lęku.

Szedł oracz za pługiem i ziemia liljowiła mu się w świeżych brzdach. Wdychał głęboko zapach ziemi, która pachnie, jak krew. W mgłę na horyzoncie zwiadywały się dymy dalekich pożarów, a w chmurze, która toczyła grom, pryskały błyskawice, jak blask mieczów.

Te miecze widziała także Joanna. Cięły się przed jej oczyma nieznaną sztuką szermierską. Przecinały wreszcie niebo, jak błękitną kotarę, i wtedy mogła widzieć Joanna tajemnicę przyszłości. Więc, gdy inni szli przed siebie, dniem powszednim popychani w przepaść rozpacz, Joanna wyrwała się ku sprawom, które się jej tajnie objawiły.

Mówiła ludziom:

— Jestem posłuszna tym, którzy mnie wzywają!

I w tem posłuszeństwie stawała się Joanna uparta, bezwzględna dla bliskich. Niczyje słowo nie mogło być przecież ważniejsze od szeptu, który szumiał w uszach: Joanno, wstań! Joanno, wybrana jesteś, aby czynić!



Joanna d'Arc, zaśluchana w głosy z zaśmiata.
Rzeźba E. Rude.

Myślała może: Kim jestem, że to właśnie do mnie mówią święte usta? Jestem młodą, głupią dziewczyną, jestem przecież kobietą, która nic nie znaczy tam, gdzie rządzi męski rozum i mężów siła. Któż mnie posłuszną posłucha, kto mnie wierzącej uwierzy?... Jestem chłopką, a czemuż jest chłopski, najniższy stan? Więc, jakże bełkotem chłopskiej mowy — rozkazywać panom, baronom, diukom, jak przemówić do króla: Wstań i czyn!

I tak, wiedząc, nie wiedziała Joanna, że w jej dziewczęctwie i w jej chłopskości mieści się mężność i rycerstwo.

Bo, kóżto wie o sobie — prawdę? Kto sam siebie, wtłoczonego w szarość — odszuka jasnym i świecącym?

Cudowność Joanny mieści się właśnie w tem, że się zjawiała nagle wśród tych, którzy nie oczekiwali już cudu. Obliczano tam wszystko rozumem i doświadczeniem, więc trudno było uwierzyć w zwycięstwo, skoro wszystkie realne pozycje dowodziły, że klęska jest nieunikniona. Joanna była dla dworzan, doradców i wodzów króla Karola tylko — nieszkodliwym eksperymentem. Można spróbować, gdy i tak już wszystko zawiodło!

Więc zanim jeszcze poprowadziła wojska do walki z nieprzyjacielem, musiała Joanna stoczyć walkę z niedowiarstwem rozumnych i doświadczonych. Zapewne mówili:

— Nie mamy dość wojska, koni, paszy dla bydła, pieniędzy na zapłacenie żołdu żołnierzom.

A Joanna na to:

— Nie macie więcej jeszcze — bo brak wam odważnego ducha!

I to właśnie musiało najwięcej śmieszyć, że ta mała prostaczka coś tu im, uczonym i wielowiednym, prawi o duchu. Byliby może powiedzieli: — romantyzm! — ale nie znali jeszcze tego słowa, które po wiekach dopiero przyłgnęło do Joanny, już błogosławionej, a jeszcze nie *śmiętej*.

W tej chwili jednak, gdy Joanna stanęła przed

królem, rozpoczęły ze sobą bój dwie potęgi: rozum i duch. Była to więc jakgdyby wojna w wojnie. Bo najpierw trzeba było w sobie samych przewalczyć wszystko, co dotąd władało nad postanowieniem i czynem. Wreszcie pod światłem cudu zdobyć wiarę, że wyższa jest potęga ducha, choć nie można jej ogarnąć najmędrszym pojęciem.

Dziś, gdy Joanna stała się wskrzeszoną legendą, urokiem przeszłości i wieczystą sławą — święci Francja nie inne święto, jak święto ducha. Joanna jest jego symbolem, jak nim właśnie jest każdy mit. Nadludzką miarą trzeba bowiem odmierzać takie czyny, które mają przetrwać czas swojego działania.

Czyn Joanny przetrwał nie tylko w uwielbieniu dla cudowności. Skrętnie poszukująca przyczyn i skutków wiedza historyczna, choćby była najlepiej uzbrojona w „szkiełko i oko“, uznać musi, że to właśnie z ducha Joanny rozpoczęła się nowa era Francji. Zwycięstwa Joanny — to pierwszy cios, zadany partykularyzmowi feudalnemu i krnąbrnemu a zdradliwemu wasalstwu; to jakby zaczątek tych przemian, które formowały się we Francji wysiłkiem pracy i wzbudzaniem się elementów.

Można więc powiązać ze sobą historyczne fakty, ażeby realnie uwierzyć w Joannę. Ginąc na stosie, oddawała swoją wiedzę o przyszłości — wiekom, które przyjdą. Brali tę wiedzę pokolei królowie, mężowie stanu, wielcy rewolucjoniści, Wielki Cesarz. Dziś jest ona już własnością całego narodu francuskiego, który, święcąc dzień Dziewicy Orleańskiej, pamięta przeszłość z myślą o wiekach, które przyjdą. Jest to mistyka ciągłości dziejowej, która przecież nie jest niczem innym, jak wiecznym trwaniem ducha narodu.

Myśląc o Joannie francuskiej — pomyślmy również przez chwilę o Polsce. Niech się nam w krótkim przelocie objawi nasza ciągłość dziejowa, wytrzymywana duchem Wielkich.

LISTY Z NAD GANGI

IV.

Życie rodziny hinduskiej płynie dziś tym samym trybem, co przed wiekami. Podawnemu kilka pokoleń żyje razem, tworząc tak zwaną „łączną rodzinę“. Na jej czele stoi najstarsza wiekiem matka, do niej należą rządy całym domem. A nie jest to rzecz łatwa, często bowiem pod jednym dachem żyje po sto i więcej osób.

Wszyscy zarobkujący mężczyźni oddają swe pieniądze do wspólnej rodzinnej kasy, wydatkami zaś dysponuje matka, starając się równomiernie zaspokajać potrzeby wszystkich. Niema więc u nas ubogich krewnych, wszyscy bowiem, żyjący pod jednym dachem — do trzeciego, a często nawet czwartego pokolenia włącznie — korzystają z tych samych dochodów. Niema u nas również bezdomnych sierot; po

śmierci rodziców, nie korzystając specjalnie z niczyjej łaski, dziecko wychowuje się nadal w ich rodzinnym domu.

Trudną i odpowiedzialną jest rola pani domu. Wielkiego, zaiste, taktu i dobroci potrzeba, aby umieć ład i harmonję utrzymać wśród tylu różnorodnych usposobień i charakterów, sprzecznych nieraz interesów i żądań. Jednak autorytet matki jest tak wielki, że nikt się nie ośmieli występować przeciw jej postanowieniom.

„Im więcej synów w rodzinie, tem większą matka ma wyrękę“ głosi przysłowie — „tem więcej bowiem synowych pomagać jej w pracy będzie“ — dodaję swój komentarz.

Domy są duże, obszerne, piętrowe, zbudowane w czworobok, liczą po sto i więcej komnat. Wewnątrz czworoboku znajduje się dziedziniec, otoczony kruzgankiem, wokół — ogród rozległy. Tak, oczywiście, wyglądają mieszkania zamożnych rodzin. Mniej zasobne muszą się zadowolić skromniejszym, w każdym bądź razie kilkanaście pokoi liczącem; biedacy gnieźdzą się w małych domach, wilgotnych i ciemnych; każde jednak, nawet najędzniejsze mieszkanko ma oddzielny pokój, specjalnie dla kobiet przeznaczony. Stosunki, opisane przez Żołą w „Germinalu“, są u nas wprost nie do pomyslenia.

W dawnych czasach kobiety musiały produkować w domu wszystko, co było potrzebne do życia rodziny. Choć dzisiaj można nabyć w sklepach większość tych rzeczy, to jednak nasze kobiety mają i dzisiaj bardzo wiele zajęcia. Zwłaszcza kobiety wyższych kast. Postaram się objaśnić genezę tego stanu rzeczy.

Ustawodawstwo wyższych kast — bramińskiej zwłaszcza — surowo zabrania swym członkom mieszkać pod jednym dachem z członkami niższych kast. Tym ostatnim nie wolno zwłaszcza tknąć jedzenia lub pościeli braminów i krzatrjów.

To też cała służba w domach bramińskich i szlacheckich musi się składać wyłącznie z przedstawicieli tych samych kast. Ponieważ jednak takiej służby jest bardzo niewiele i jest ona bardzo droga, na luksus ten mogą sobie pozwolić jedynie wyjątkowo bogate rodziny. W innych zaś kobiety domowe muszą całą pracę wziąć na swe barki. Korzystanie bowiem z pomocy służebnic niższych kast naraziłoby je na utratę swej kasty i wynikające stąd rozliczne, a dokuczliwe następstwa.

Wskutek tego kobiety nasze, zwłaszcza mieszkanki tych obszernych domostw, mają bardzo wiele do roboty. Muszą dom cały utrzymać w niepokalanej czystości, tego również wymaga od nich ustawodawstwo

kastowe; muszą obsłużyć swych mężów i małe dzieci, same szyć dla nich, prać i gotować.

Zwłaszcza gotowanie jest nadzwyczaj ważną czynnością, nieomal religijnym obrzędem. Gotując, odmawia hinduska odpowiednie modlitwy i zaklęcia; mają one odegnać od potraw wszelki wpływ zła, zapewnić spożywającemu je nietylko fizyczny, lecz i duchowy pożytek.

Tu słów kilka o naszej kuchni i sposobie jedzenia.

Większość hindusów jest wegetarjanami. Pożywienie nasze składa się przeważnie z jarzyn, nabiału, potraw mącznych, owoców i ich przetworów. Lubimy bardzo ostre, korzenne przyprawy; konfitury, słodkie, zaprawne wonnościami ciastka i słodkie napoje.

Nie znamy krzesel, ni stołów. Sypiamy na materacach, położonych na podłodze, jadamy, siedząc, również na matach na podłodze. Jedzenie stawiamy przed sobą na podłodze, podane na dużych, mięsistych liściach, rzadziej — talerzach, które zaczynają dopiero wchodzić u nas w użycie. Obywamy się również bez widelcy i noży; potrawy podawane są już pokrajane; jadamy łyżkami; mniej kulturalni lub bardziej przywiązani do tradycji — nawet palcami. Jednak europejczycy twierdzą, iż czynimy to w sposób tak estetyczny, że ich to wcale nie razi.

Ciastka, słodczyce wogóle, są naszą ulubioną potrawą. Przeróżne sposoby ich przyrządzania są zazdrośnie strzeżoną tajemnicą i chlubą każdej gospodyni. Gotowanie odbywa się w przestronnej wspólnej kuchni; każda kobieta gotuje dla swego męża, brata, syna. Wdowy pomagają wszystkim potrochu, lub też, przez ducha pokory i w poczuciu swej winy, biorą na siebie najcięższą pracę. Zanim kobiety zasiądą do posiłku, muszą podać jedzenie mężowi i nakarmić dzieci. Same jadają przeważnie w kuchni, dorywezo i pośpiesznie, nie przerywając zajęć gospodarczych, co, oczywiście nie może im pójść na zdrowie. Jedynie kobiety, które ukończyły 30 lat, jadają w stołowym pokoju (jednak po mężczyznach) i są obsługiwane przez młodsze.

Dziecko jest największem umiłowaniem hinduski. Są one wprost idealnymi matkami; zawsze same karmią swe dzieci, przeważnie do dwóch, a nawet trzech lat życia, same dla nich gotują i piorą, a często same nawet tkają dla nich materiał na odzienie. A wszystko to czynią nietylko kobiety wyższych kast, które muszą obywać się bez służby, lecz również i kobiety kasty wajszów, których ten zakaz nie obowiązuje. Nie mogą bowiem znieść myśli, aby obca kobieta zajmowała się ich dzieckiem i miała wpływ na nie.



JOANNA D'ARC NA EKRANIE

Joanna d'Arc zajmuje wśród historycznych postaci kobiecych stanowisko zupełnie odrębne. Były między nimi wielkie miłośnice, i wielkie królowe, i wielkie patryjotki — ale dla żadnej z nich tak, jak dla Joanny, miłość ojczyzny nie była jedyną racją istnienia. Joanna przyszła na świat, zda się, tylko po to, ażeby zbawić Francję i zginąć.

Musiała zginąć, choć nie pragnęła dla siebie nic, ani od Boga, ani od ludzi, prócz tego, ażeby jej pozwolono żyć i słuchać bicia dzwonów w rodzinnej wiosce. Musiała zginąć nie tylko dlatego, że wyrosła ponad powszedniość, że była jak oślepiająca błyskawica na ciemnym tle średniowiecza — nie tylko dlatego, że ona, prosta dziewczyna wiejska, rozkazywała możliwym tego świata i znajdowała u nich posłuch. Musiała zginąć jeszcze i dlatego, że była kobietą.

Czyż można było wybaczając dziewczynie, że podeptała wszystkie uświęcone tradycje swojej płci i, przypinając do boku miecz, znieważała odwieczne „prawo mężczyzny“!? W czasach, kiedy do spraw ludzkich chętnie mieszano moce piekielne i siły niebieskie — zwłaszcza o ile fakt jakiś wykraczał poza ramy codzienności — czyny pastuszki z Domremy mogły być wytłumaczone tylko, jako widomy znak łaski boskiej, albo — znowy z szatanem. Lud i wojsko uważało ją za świętą. Duchowieństwo widziało w niej tylko kobietę, która przywdziała męski strój i, wyzbywszy się chrześcijańskiej pokory, w szatańskiej pýse ośmieliła się twierdzić, że Bóg polecił jej zbawić Francję.

Dlatego Joanny nie obronił ani król, ani lud, ani rycerstwo, ani Kościół. Jakich sprzymierzeńców mogła mieć wtedy na ziemi kobieta, w dodatku kobieta niezwykła? Mogła ich



Simone Genevois, odtwórczyni roli Joanny

znaleźć tylko w niebie, wśród świętych pańskich, dokąd pozwolono jej wreszcie dostać się po pięciu wiekach.

Kimkolwiek była Joanna — czy genialną inteligencją, czy „jasnowidzącą“, obdarzoną jakąś niezwykłą siłą duchową — była pierwszą kobietą, która chwyciła za oręż, ażeby bronić wolności ziemi, na której się urodziła. Fakt podobny, jako czyn indywidualny o równie wielkiem znaczeniu historycznym, nigdy się już w dziejach nie powtórzył, ale odezwał się dalekim echem po pięciu wiekach, na innej ziemi. Obrończyni Lwowa, broniące go przed najazdem, i peowiaczki, przedzierające się „poprzez fronty“, ażeby wywalczyć wolność swej ziemi — czyż nie są dziedziczkami bohaterskiego patryjotyzmu Joanny d'Arc? Jak ona, porwały za oręż, niepomne swych słabych sił kobiecych! jak ona, walczyły i ginęły za wolność rodzinnego kraju — o tyle tylko od niej szczęśliwsze, że nie tak samotne i niezrozumiane.

Postać i życie Joanny d'Arc natchnęły niejednego twórcę i zostały utrwalone zarówno w plastyce, jak w literaturze (Anatole France, Schiller, Shaw). Nic dziwnego więc, że nadszedł czas, kiedy postacią Dziewicy Orleańskiej zajęła się także X Muza. Film, ilustrujący życie i śmierć Joanny, mogąc przeniknąć tam, dokąd nie jest w stanie dotrzeć ani dramat, ani książka — jest najodpowiedniejszą formą spopularyzowania postaci Dziewicy Orleańskiej w 500 rocznicę jej wiekopomnego czynu. To też wyświetlanie filmu tego w Wielkiej Operze Paryskiej, w obecności prezydenta Doumergue'a, było jednym z ważniejszych punktów programu uroczystości ku czci Joanny.

Zdawałoby się, że film „reprezentacyjny“, który ma być hołdem współczesnej Francji dla jej wielkiej córki, powinien reprezentować genjusz narodu, również pod względem artystycznym. Dziwnem się więc wydaje, że realizacji nie powierzono któremuś z wybitnych reżyserów francuskich (jak np. Abel Gance lub Jacques Feyder, czy M. L'Herbier), lecz — mało utalentowanemu Marco de Gastyne.

Przyznaję, że byłam niemile dotknięta szablonowością reżyserskiego ujęcia tak wielkiego tematu. Po pewnym czasie dopiero zrozumiałam, że może to było celowe. Tak samo, jak oficjalny portret, czy pomnik bohatera musi być do pewnego stopnia konwencjonalny, jeżeli ma działać na masy, tak też i film, mający tylko uświadomić te masy, czem dana postać była w historii, nie może być niezem więcej, jak tylko ilustracją pewnych epizodów jej życia, zrobioną w sposób technicznie i artystycznie poprawny, ale nie ponadto. Wszystko, co wykraczałoby poza tę poprawność, mogłoby być eksperymentem, tracić zbyt indywidualizmem (ideowym zarówno, jak ściśle wizualnym) i tem samym przeznaczać film tylko dla jednej grupy widzów, podczas gdy musi on być zrozumiały dla wszystkich i wszystkim jednakowo miły.

Kinematografia, będąca w zasadzie jedną z najdemokratyczniejszych sztuk, nie mogła wyrzec się tutaj swego głównego przywileju. Dlatego „Dziewica Orleańska“ nie zadowolni znawców i smakoszy kina, ale będzie zachwycała tłumy szarych widzów, dla których jest przeznaczona.

Jest jednak ktoś w tym filmie, kto niesie wysoko nie tylko sztandar Burbonów, ale i sztandar sztuki. Osobą tą jest Simone Genevois, odtwórczyni roli Joanny. Wybitna uroda i wybitna inteligencja. Sądząc z ogólnej reżyserji, aktorka nie ma tu nic do zawdzięczenia reżyserowi, lecz wszystko — sobie. Jest bohaterska i kobieca, jest dzieckiem i świętą. Oczy jej umieją rzucać gromy i zmuszać do posłuchu, i mogą być oczami niewinnej dziewczeczki, w których odbija się dusza wzniosła i prosta.

Pomimo to, że uroda Simone Genevois nie odpowiada zupełnie typowi Joanny (podobno była silną brunetką), wierzymy, patrząc na Simone, że tylko tak właśnie mogła wyglądać wybawicielka Francji. Ilekroć powrócimy myślą do Dziewicy Orleańskiej, zawsze przed oczyma stawać nam ona będzie w postaci Simone Genevois.

Stef. H.



TEATR POLSKI

„Opera za trzy grosze” — widowisko z muzyką w 8 obrazach z prologiem. Reżyserja L. S. Schillera. Dekoracje Stanisława Słowińskiego.

Czy to ma być teatr przyszłości? W takim razie lepiej poprostu iść do trupiarni i tam szukać natehnienia. Jest coś przeciwnego naturze w tem pomieszaniu makabryzmu z jowialną dobroduszością, w tym flircie szubienicy z miodowym miesiącem.

Byłoby rzeczą bardzo ciekawą i pouczającą sprawdzić, co w tej sztuce, napisanej podobno w 1728 r., czyli dwieście lat temu, jest autentyczne, co zaś jest falsyfikatem zręcznego „u współczesniania”. Idylla herszta bandytów z córką „fabrykanta kalek” mogłaby mieć urok pewnej ekscentryczności, gdyby nie była tak umorusana, że z pod warstwy brudu trudno rozpoznać jej fizjognomję.

Niepodobna nawet tej sztuki nazwać niemoralną, nieprzyzwoitą, czy pornograficzną — są to wszystko określenia zbyt subtelne, jak na ten bigos hultajski, uwarzony ze wszelkiego rodzaju mętów, odpadków i zgnilizny, którego sam zapach wystarczy, aby wzbudzić obrzydzenie. Wszystko tu jest gloryfikacją kłamstwa i obludy. „Prawdziwe nieszczęście nigdy nie wzbudza współczucia” — powiada Pryszcz, „dobroczynca” żebraków, za zręczną charakteryzację, kostjumy i protezy ściągający lichwiarskie procenty ze swych pupilów.

Jeżeli ten Pryszcz miał budzić wstręt, jako uosobienie kapitału, to wyzyskiwani przez niego proletarjusze mogą z nim pod tym względem śmiało konkurować. Ci wszyscy złodzieje, policjanci, żebracy i prostytutki — to godna kompanja symulantów i snobów, z których każdy z upodobaniem uprawia swoje rzemiosło, zasłaniając się zasadą głodową: „Naprzód dajcie żreć, a potem uczcie moralności”.

Wiadomo, że nędza jest najczęściej matką występku, ale bywa nią także specjalna predyspozycja uczuciowa, którą Angliki nazywają „moral insanity”. To właśnie zakażenie etyczne sprawia, że na tę sztukę patrzy się, jak na wrzód: ze wstrętem i z nadzieją, że sobie nareszcie pęknie. Widok Maszyńskiego ze stryczkiem na szyi sprowadza pewnego rodzaju ulgę. Przecież się to kiedyś skończy!

A że wszystko w tej sztuce jest symulacją i zakłamaniem, więc jej pseudobolszewizm i podrabiany tołstoizm, wyrażający się w piosence: „Nie sprzeciwiajcie się złu zbyt uporeczywie!” — sprawia wrażenie raczej karykatury, niż apologji wywrotu, i może być niebezpieczny tylko dla bardzo zielonych mózdków.

Makabryczność sztuki podnosiła jej strona muzyczna. Zmuszanie do śpiewu artystów, którzy nie mają głosu — to jeszcze jeden fałsz artystyczny, jeszcze jedna symulacja, jeszcze jeden grymas snobizmu.

Najszcześliwiej z tych opresyj wyszła Modzelewska, obdarzona miłym głosem i wrodzoną muzykalnością. Stworzyła postać naturalną, świeżą, dziewczęcą; była kwiatem na bagnie. Maszyński, świetnie zrobiony na „eleganckiego” bandytę, wykazał duże zdolności akrobatyczne. Samborski swemu Pryszczowi dał brutalny gest wyzysku i dramatyczne akcenty w scenach rezonerskich. Reszta artystów karnie poruszała się w ramach, zakreślonych przez nieubłaganą reżyserję, wprowadzając w monotony obrót mechanizm tej ponurej groteski.

S. P. O.

KOBIETA
W ŚWIECIE I W DOMU

GOSPODARSTWO DOMOWE NA P. W. K.

Na wystawę powszechną wysłały organizacje, zajmujące się studjami i wykształceniem kobiet w gospodarstwie domowym, szereg ciekawych eksponatów.

Ruchliwe „Koło Studjów Gospodarstwa Domowego” w Warszawie wysłało: model wzorowej kuchni, oraz interesujące przyrządy nowoczesne, ułatwiające pracę w domu i w kuchni, jak: suszarki do naczyń, komplet szczotek do mycia okien, i pas ochronny przed wypadnięciem z okna, szczotki do mycia naczyń, półeczki do szczotek, nowy model luźnika, śmietniczkę higieniczną i t. p. Przyrządy te są wynalazkiem członkiń Koła, które bardzo żywotnie i praktycznie traktuje zagadnienia gospodarstwa domowego.

Pozatem wysłano na Wystawę wykresy, fotografie, przezrocza, albumy, książki z zakresu gospodarstwa.

Zainteresowanie temi sprawami niezmiernie rośnie w szerokich kołach kobiecych, jak o tem dobitnie świadczy niezwykle liczne zebranie w jednej z największych sal Warszawy, urządzone przez Koło studjów gospodarczych w celu zapoznania ogółu z dorobkiem swych prac. Na sali było ponad 600 osób, które wysłuchały ciekawych wyjaśnień i wskazówek pań: Karczewskiej, Kiewnarskiej Elżbiety, Ankiewiczowej, Mandukowej i Chmieleńskiej.

Cóż dziwnego, że w ciężkich warunkach współczesnego gospodarowania w przestarzałych formach — gospodynie szukają ułatwień, pragną przetworzyć metody pracy domowej i wprowadzić nowe urządzenia, które pozwoliłyby im przestać być niewolnicami domu i kuchni, lub uwolniły od konieczności utrzymywania licznej i kosztownej służby.

j. k.

WESELE AMERYKANKI W WARSZAWIE.

Panna Suzette Dewey, córka amerykańskiego doradcy finansowego, wyszła zamąż za p. Fredericka Algernon, również Amerykanina. Ślub młodej pary odbył się jednak w Warszawie i w sferach towarzyskich stolicy był wydarzeniem niezwykłym i oryginalnym.

Przedewszystkiem pewne zwyczaje amerykańskie, nieznanne u nas, i ceremonjał ślubny nieco odmienny — wzbudziły ogólne zainteresowanie. Pozatem szeroka gościnność pp. Dewey sprawiła, że bardzo liczne i wytworne towarzystwo polskie i międzynarodowe uczestniczyło w uroczystościach weselnych.

Po ślubie w kościele ewangelicko-reformowanym odbyło się przyjęcie dla kilkuset osób w salonach rady ministrów gdzie zebrali się przedstawiciele rządu, dyplomacji, prasy, sfer towarzyskich stolicy.

Przyjęcie było swego rodzaju rewją elegancji i strojów popołudniowych. Panie wystąpiły w tualetach z koronek, żorżety, jedwabiu, oczywiście z rękawami i w kapeluszach, przy czem obok minjaturowych kapelusików dużo było kapeluszy-pasterek z szerokim rondem. Jeśli chodzi o barwy — to przeważał kolor piaskowy (beige) w różnych odcieniach; tualety jasne, dużo zielonych, czerwonych i niebieskich odcieni. Uwagę zwracały panie, przybyłe na ślub z Ameryki, przeważnie ubrane w koronki.

Suknia panny młodej, wykonana w Warszawie z białego jedwabiu „satin”, ozdobiona była haftami według staropolskich motywów, welon z tiulu. Tualety pięciu druchen były jednakowe — z piaskowej żorżety, — kapelusiki maleńkie z seledynowego filcu i seledynowe pantofelki.

j. k.

RUCH PRZEDWYBORCZY W ANGLJI



Konferencja młodej leaderki londyńskiego Związku kobiet konserwatywnych z delegatkami prowincjonalnymi.

NOWY ZARZĄD KLUBU POLITYCZNEGO Kobiet POSTĘPOWYCH.

Na walnem zebraniu Klubu Politycznego Kobiet Postępowych w Warszawie w dniu 24. IV. wybrano nowy zarząd, do którego weszły pp.: Dr. Budzińska-Tylicka, S. Bujak-Boguska, H. Baryszowa, dr. M. Kiernikowa, A. Kulwieciowa, A. Loretowa, T. Męzkowska, E. Sędziukowa, M. Stanowska, E. Trenklerówna, pos. E. Waśniewska. Jako zastępczynię, pp.: Rudnicka, Z. Stankiewiczówna, J. Krawczyńska. Komisja rewizyjna — pp.: Z. Dobrzańska, M. Olszewska, dr. H. Stycz-Naglerowa. j. k.

„S E V E R I N E”.

Znakomita dziennikarka i publicystka francuska, pani „Séverine”, zmarła w ostatnich dniach kwietnia, licząc 74 lata życia.

Była nietylko świetną pisarką, znaną w całym świecie, lecz i niepospolitym człowiekiem. Uważano ją za rewolucjonistkę i apostołkę socjalizmu: była nią o tyle, o ile chodziło o obronę uciśnionych, o walkę z podłością i niesienie pociechy nieszczęśliwym. Jej prawość i bezinteresowność w służbie ideału ludzkości była przedmiotem podziwu. Pani Séverine nie dbała o zaszczyty. Była wiceprezeską Ligi Praw Człowieka i Obywatela, gdyż „polityką jej była służba dla ludzkości” — żadnych godności nie przyjmowała.

Jej rodzinne nazwisko brzmiało: Karolina Remy. Urodzona w Paryżu (1855) z rodziny mieszczańskiej — ojciec jej był urzędnikiem — pod wpływem redaktora „Cri du Peuple” Valles’a, wbrew życzeniom rodziny poświęciła się (1881) dziennikarstwu, walcząc o prawa ludu w epoce reakcji po wstrząsach Komuny. Od roku 1885, po śmierci Valles’a, została redaktorką naczelną tego pisma, które materialnie podtrzymywał jej mąż, dr. Gebhard.

Pisywała w pismach i dziennikach, niezależnie od ich zabarwienia politycznego; całe życie płomiennym swym piórem służyła obronie spraw, które uważała za słuszne i sprawiedliwe. Artykuły jej drukował zarówno „Figaro” i „Gaulois”, jak „Eclair”, „Libre Parole” i „Humanité”. Była współpracownic-

ką pierwszego feministycznego dziennika „La Fronde” (już nieistniejącego). Artykuły swe wydała w kilku tomach pod różnymi tytułami. Napisała kilka utworów literackich.

We Francji „Séverine” była legendarną bojownicą, do której uciekali się wszyscy pokrzywdzeni. Nieustraszona starszka do ostatnich niemal dni życia, chora w swym zaciszu wiejskim, nie wypuszczała pióra z ręki. Walczyła o prawa kobiet, zwalczała wojnę, zabierała głos we wszystkich sprawach, gdzie chodziło o zwycięstwo prawdy. j. k.

JUBILEUSZ ZASŁUŻONEJ DZIAŁACZKI KOBIECEJ.

Bardzo uroczyście obchodziła Międzynarodowa Liga Praw Wyborczych Kobiet 70 rocznicę urodzin p. Chapman-Catt, bylej swej przewodniczącej. W czasach najtrudniejszych walk o prawa wyborcze kobiet sędziwa dziś jubilatka była niestrudzoną bojowniczką tych praw. Długie lata przewodniczyła Lidze; jej inicjatywa i praca przyczyniły się w znacznej mierze do zorganizowania szeregu zjazdów międzynarodowych, odbywanych przed wojną kolejno w różnych miastach Europy i Ameryki. Była nadto redaktorką naczelną „Jus Suffragii”, pierwszego i przez długie lata jedynego pisma polifaktycznego kobiecego, wydawanego w kilku językach. Powaga i stanowisko p. Chapman-Catt w całym świecie były ogromne. Liczyli się z nią wybitni politycy i mężowie stanu.

Obecnie wskutek podeszłego wieku znakomita działaczka wycofała się z czynnego udziału w pracy. Nie zapomniano jednak o niej. Liga Międzynarodowa Praw Wyborczych wysłała do Stanów Zjednoczonych delegację, która wręczyła p. Chapman-Catt kosz kwiatów, ubrany sztandarami wszystkich państw, w których Liga ma swe oddziały. Kwiaty, wypełniające kosz, zostały wyhodowane z nasion, przysłanych również z tych krajów. Nadto wszystkie stowarzyszenia narodowe i międzynarodowe kobiece, których jubilatka była członkinią, lub interesowała się ich działalnością, przysłały delegacje, albumy i depesze z życzeniami. N. J.

POROZUMIENIE KOBIEC EUROPY ŚRODKOWEJ.

Organizacja międzynarodowa kobiet, istniejąca pod nazwą „Petite Entente des Femmes”, odbędzie swój tegoroczny zjazd w Warszawie.

Stanie się to z tej racji, że prezydjum „porozumienia” przypadło na ten rok polkom. Prezeską jest p. dr. Budzińska-Tylicka, sekretarką główną p. Sylwia Bujak-Boguska.

Do „Porozumienia Kobiet Środkowej Europy” należą przedstawicielki Czechosłowacji (dwie grupy: lewicowa i prawicowa), Rumunii, Jugosławji i Grecji. To sąsiedzkie porozumienie ma cele kulturalne, społeczne i pokojowe między państwami. Szczególnie w dziedzinie praw kobiet — niektóre z tych krajów jeszcze nie znają równouprawnienia politycznego i obywatelskiego kobiet, lub uzyskują je stopniowo, jak Rumunja, Grecja, Jugosławja — „Porozumienie” prowadzi żywą akcję.

„Petite Entente des Femmes” odbędzie obrady w dniach 24—26 czerwca b. r. Na zjeździe warszawskim będą referowane następujące zagadnienia: 1) Macierzyństwo a praca zawodowa kobiet, 2) Walka z prostytucją i 3) Obecne możliwości pacyfikacji świata.

Ze zjazdem ma być połączona szeroka propaganda i szereg uroczystości. j. k.

| | |
|---|--|
| <p>PROSZEK „KOGUTEK” DLA DOROSŁYCH USUWA NAJUPORCZYWSZY BÓL GŁOWY</p> | <p>CHCĄC NABYC PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻĄDAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GĄSECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE UPORCZYWIE POLECANE. NAŚLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.</p> |
|---|--|

PRZEDWIOŚNIE WYSTAWY

Żyjemy tutaj w promieniach jednego jedyne go słońca, które przysłała sobą wszystko inne, wszelą ką radość i troskę codziennego bytowania. Żyjemy pod hasłem P. W. K.

Te trzy magiczne litery przewijać się będą stale przez treść mojej dzisiejszej gawędy, albowiem dokoła Powszechnej Wystawy Krajowej skupiają się nasze wielkie i maleńkie nadzieje; jest ona tematem najpesymistyczniejszych i skrajnie optymistycznych przewidywań: źródłem skoncentrowanego oczekiwania, podświadomego lęku i promiennych nadziei.

My, mieszkańcy Poznania, czujemy się, jako że żaki, zalęknione zbliżającą się chwilą zadokumentowania własnej dojrzałości; czujemy się poniekąd odpowiedzialni za egzamin, jaki Gród Przemysłowy złoży przed całym społeczeństwem i licznymi gośćmi z poza granic kraju.

Przez ulice Poznania przewijają się coraz liczniejsze samochody, przybywające ze wszystkich stron kraju. W tramwajach, na ulicach, w miejscach publicznych rozrywek, kawiarniach i restauracjach zaczyna już panować nastrój gorączkowy i świąteczny; pojawiają się coraz to nowe twarze, ożywiając senne tempo naszego zwykłego bytowania.

Podchwytywane w przelocie rozmowy wracają zawsze do jednego i tego samego punktu koncentracyjnego, a jest nim podziw dla Zarządu Wystawy, wypowiadającego się kategorycznie w sprawie terminowego przecięcia symbolicznej wstęgi, pomimo, że na olbrzymich terenach pracy jest jeszcze coniemiarą. Brygady robotników pracują na trzy zmiany; reflektory rzucają snopy oślepiającego wprost światła w ciągu całej nocy; mrówczy, ofiarny, ożywiony poczuciem wielkiej odpowiedzialności, trud stwarza wprost cuda!

To, co mieści się w szerokim kręgu odpowiedzialności ludzkiej, musi być i będzie na czas wykonane. Jednakże prawdziwą troską, rzucającą cień na te syzyfowe zmagania, jest — okrutna wiosna! Zadyмки śnieżne i spadająca raz po raz poniżej 0 temperatura, opóźniły prace dekoracyjne. W tych warunkach atmosferycznych o przystrajaniu kwietników, zasiewaniu czulej na przymrozki trawy, myśleć trudno.

Może to jednak i lepiej, że opóźniona vegetacja pozwoli naszemu miastu przyoblec się na powitanie pierwszych gości w najcudowniejszą ze swoich szat — szatę wiosenną. Kto nie widział stolicy Wielkopolski, otulonej chmurą zakwitających krzewów, drzew ozdobnych i owocowych, kto nie zna bogactwa rozrzuconych dokoła domów mieszkalnych i willi ogródków, ten będzie musiał odczuć niecodzienny, wszechpotężny urok tego miasta-ogrodu.

Złożą mu bowiem pokłon powitalny ciężkie od królewskich kwiatów magnolje; wiotkie gałązki wisiенок japońskich osypią chmurę różowych płatków; pastelowe glicynje przeniosą go w świat feerycznej bajki, a gorące złoto przekwitających już forsycyj wraz z ulatującą wonią ostatnich fiołków i jutrenkową barwą kwitających drzew owocowych — stworzą najwspanialszy z poematów natury! Trzymaną na uwięzi upartym chłodem vegetacja wiosenna wydaje się czekać na wielki dzień przecięcia wstęgi, aby jednego słonecznego ranka obudzić się do bujnego życia na chwałę P. W. K.!

Bardziej może przyziemną, a jednak najżywniejszą troską mieszkańców Poznania jest konieczność pomieszczenia spodziewanych gości. Dla dobra tej sprawy pracuje już od szeregu miesięcy Biuro Kwaterunkowe, rejestrując zgłoszenia osób prywatnych, odnajmujących mieszkania i pokoje. Wyżej wspomniane biuro zabiega również o przygotowanie kwater masowych, przeznaczonych dla licznych wycieczek, oraz wyznacza obowiązujące ceny, starając się zapobiec nieuczciwemu wyzyskowi. Przyjezdni będą mogli zatem zgłaszać się na dworcu kolejowym do urzędującego tam Oddziału Biura Kwaterunkowego i stamtąd udać się już wprost do wyznaczonej im kwatery.

Możliwość zorientowania się w skali kosztów, jakie pociągnie za sobą zwiedzenie P. W. K., jest sprawą, interesującą całe społeczeństwo. Pomimo licznych urzędowych komunikatów i perjodycznych sprawozdań M. B. K. (Miejskiego Biura Kwaterunkowego), szerzą się stale niepokojące wersje, jakoby drożyzna mieszkań i aprowizacji miała utrudnić szerokim warstwom społeczeństwa pobyt w Poznaniu. Otóż obydwie te pierwszorzędnej ważności sprawy nie powinny budzić obaw, są bowiem doskonale uregulowane.

Liczne hotele i pensjonaty, oraz wspaniałe, ogromny nowowyprowadzony hotel wystawowy „Polonia“, urządzone według wymagań nowoczesnego komfortu, oraz szereg prywatnych mieszkań i pokoi, zgłoszonych do M. B. K., zaspokoją głód mieszkaniowy w całej pełni. Dostyc nadmienić, że Miejskie Biuro Kwaterunkowe dysponować będzie pomieszczeniem własnym, to znaczy zakontraktowanym na czas całej Wystawy, na imponującą liczbę — 41.755 osób. Ceny mieszkań unormowano w sposób następujący:

Hotel Polonia: od 18 — 65 zł za dobę.

HOTELE I PENSJONATY

Prywatne: od 10 — 50 zł, za dobę.

Domy gościnne: od 10 — 15 zł, za łóżko.

KWATERY W MIESZKANIACH PRYWATNYCH

| | | | |
|-------------------------------|----------|---------|-----------------|
| I klasa: pokój o jednym łóżku | 1' zł. — | o dwóch | 16 zł. na dobę. |
| II klasa: „ „ „ „ | 10 zł. — | „ „ | 14 zł. „ „ |
| III klasa: „ „ „ „ | 8 zł. — | „ „ | 11 zł. „ „ |
| IV klasa: „ „ „ „ | 6 zł. — | „ „ | 8 zł. „ „ |

Za dodatkowe posłanie w I kl. — 4 zł., w II kl. — 3 zł., w 3 kl. — 2 zł. za dobę.

Przy dłuższym zajmowaniu kwatery przysługuje prawo korzystania ze zniżki od 10—40 procent.

W sprawie aprowizacji miasta porobiono też kroki, zapewniające wystarczający dowóz produktów i zapobiegające wyzyskowi. W tym celu wyznaczony został specjalny „Komisarz Żywnościowy Izby Przemysłowo - Handlowej na czas Powszechnej Wystawy Krajowej“, który to Komisarz ma za zadanie poczynienie odpowiednich aprowizacyjnych przygotowań, oraz czuwanie nad zabezpieczeniem wystarczającej podaży produktów żywnościowych po cenach normalnych.

Liczne restauracje, kawiarnie, bufety, kioski i automaty, powstające na samym terenie Wystawy, przyczynią się niemało do postawienia sprawy żywienia licznych rzesz przyjezdnych na zadowalniającym poziomie, tem więcej, że wiele z tych zakładów pozostawać będzie pod osobistym zarządem P. W. K., a to w celu dostarczenia zwiedzającym Wystawę smacznego, zdrowego i niedrogiego pożywienia.

Dział rozrywkowy zapowiada się wspaniale. Liczne dancingi, kabarety, t. zw. „Wesołe Miasteczko“, jednoczące na swoim terenie najróżnorodniejsze atrakcje, będą przyciągały żądnych rozrywki przez długie godziny nocne; wspaniale, nowopowstałe stadiony sportowe zapowiadają szereg pierwszorzędných zawodów; konkursy hipiczne i wyścigi szczytą się nazwiskami jeźdźców o światowej sławie.

Nietylko na samym terenie Wystawy Powszechnej, ale i w całym mieście wre gorączkowa praca przygotowawcza. Śmiało powiedzieć można, że Poznań przystraja się w szatę odświętną. Przez ułożenie nowych bruków, rozszerzenie ulic i chodników, powiększenie i przedłużenie linii kolei elektrycznej, telefonów, wypuszczenie licznych autobusów i dorożek samochodowych — stworzy bezsprzecznie na czas Wystawy warunki lokalne, odpowiadające najwyższemu wymaganiom.

To też czekamy tu wszyscy gości ze spokojem i radością, pewni, że wrażenia, jakie wywozają, zapiszą się złotymi głoškami w ich wyobraźni i pamięci, budząc podziw wśród obcych, a wśród swoich wdzięczność i szacunek dla tych wszystkich, których wysiłek dokona tej imponującej pracy, podjętej dla dobra polskiego imienia.

Wanda Dobrzańska.

Poznań, w maju 1929 r.

IV. CEREMONJAŁ I FORMY TOWARZYSKIE W POLSCE

Ustrój demokratyczny Rzeczypospolitej, gdzie król obieralny pierwszym był pomiędzy równymi, a szlachcic na zagrodzie równym się czuł wojewodzie — nie był gruntem, na którym wyrosnąć mógł ceremonjał dworski, nacechowany czołobitnością, czy serwilizmem.

Poczucie równości szlacheckiej wpływało w znacznej mierze na obyczaj towarzyski i na formuły grzeczności.

Choć w rzeczywistości równość ta istniała jedynie w stosunku do prawa i nie mogło być mowy o równości towarzyskiej, bo tej niema nigdzie, nawet w najbardziej demokratycznych społeczeństwach, to jednak i ta fikcyjna równość nie była bez wpływu na pewne formy grzeczności.

Każdego szlachcica tytułowano „panem bratem“, ta równość braterska rodziła pretensje do udziału we władzy, dostojęństwach i świetności Rzeczypospolitej, która w zrozumieniu ówczesnem wspólną własność stanu szlacheckiego stanowić miała i gdzie o każdą godność dobijać się mógł „dobrze urodzony“.

Tytułów z racji zajmowanych urzędów, a często i tytułów, do których żaden urząd nie był przywiązany, był w Polsce szereg nieprzebrany. Obdzielano nimi hojnie szlachtę, a w ostatnich latach Rzeczypospolitej kupczono nimi za pieniądze. Tytuł stolnika, cześnika, podstolego i wiele innych, były to nazwy urzędów niepłatnych i nienakładających żadnych obowiązków, jedynie mile głaszczące ucho tego, do którego się, jako do Jaśnie Wielmożnego, zwracano.

Formułki grzeczności w dawnej Polsce miały też swój rodzimy charakter. Podyktowane własnym smakiem, przez długie lata nie podlegały one wpływowi cudzoziemskiego obyczaju, bo odpowiadały najlepiej ustrojowi społecznemu, z którego wyrosły i którego zmieniać nikt nie miał ochoty.

Ta samorodność form, wyrosłych na własnym gruncie, sprawia, że grzeczność polska nosi cechy większej szczeroci, niż w krajach o bardziej zróżnicowanej hierarchji społecznej, zdaje się płynąć z wrodzonej polakom uprzejmości, lub być nabytą przez dobre wychowanie. Zwraca też ona uwagę cudzoziemców, podróżujących po Polsce, którzy pochwał nie szczędzą odrębnej „sarmackiej gracji“ i wspominają o malowniczym, poważnym ukłonie polaków. Cześć dla rodziców i sędziwego wieku wyrażała się w zgięciu kolana przed matką. To pochylenie się do kolan zamarkowane jest w ukłonie polskim powłóczystym gestem prawej ręki, nieznanym w innych krajach.

Polacy mają przyrodzony talent towarzyski. Już w XVI wieku porównywano ich z tego powodu do francuzów. Wrodzone zdolności w tym kierunku po-



zwały im też z łatwością przyswajając sobie ogładę towarzyską, spotykaną w wyższym stopniu w krajach zachodnich.

Młodzież polska, kształcąca się we Włoszech, przywoziła ze sobą nie tylko wiedzę — zwłaszcza znajomość literatury starożytnej — ale i obyczaje i kulturę włoską, którą starała się krzewić we własnym kraju, rozumiejąc, jakim dobrodziejstwem jest dla narodu wiedza i cywilizacja. Jednym z najgorliwszych jej krzewicieli jest Łukasz Górnicki.

Mieszkając dłuższy czas we Włoszech, polubił on wytworny sposób bycia i wykwintne obyczaje mieszkańców tego kraju i chciał je na grunt polski przeszczepić. W tym celu właśnie spolszczył książkę pisarza włoskiego Castiglione, pod tytułem „Dworzanin”. W dziele tem Górnicki daje obraz wykwintnego człowieka i tłumaczy, jakie przymioty posiadać i jak zachowywać się powinien wzorowy dworzanin.

Szkołę dobrych manier stanowiły dla znacznej większości młodzieży szlacheckiej dwory możnych panów.

Od dworzanina wymaga Górnicki, aby był rycerzem, pełnym męstwa i szlachetności, a równocześnie człowiekiem wykształconym i muzykalnym. Oprócz tego musi wzorowy dworzanin być zdrowym fizycznie i biegłym w różnych ćwiczeniach rycerskich, ale przede wszystkim powinien mieć „przystojność”, t. j. grację, która polega na doskonałej naturalności, na zupełnej swobodzie, wolnej od przesady, czyli „wydwarzania”, zarówno w ruchach, jak i w sposobie mówienia. Dla wyzyskania tych zalet nieodzownym jest jeszcze takt towarzyski, podyktowany wrodzonym instynktem i przez dobre wychowanie nabyty. Kobietę dobrego towarzystwa cechować powinny liczne przymioty, cnoty i nauki, a obok nich prawdziwa kobiecość, bo „jako mężczyzna ma to w każdej sprawie pokazywać, iż jest, jako dąb, tak zasię w białogłowie ma być coś pieszczonego, w miarę przystojnego żeńskiej „niedużości” — powinna ona posiadać swój wdzięk swoisty, różny od męskiego.

Ogół szlachty XVI wieku daleko odbiegał od tego idealnego wzoru, jaki stawia Górnicki. Naśladować go starały się jedynie nieliczne, najszlachetniejsze i najmędrze jednostki, co świadczy, że dążność do wyższej kultury nie była obca już wtedy wyższym warstwom naszego narodu.

Wysiłki te, choć im znaczenia i wpływu na rozwój kulturalny w naszym kraju odmówić nie można, nie zdołały jednak stworzyć właściwego życia towarzyskiego; przed drugą połową XVIII wieku nie można też mówić o polskim „salonie”. Nawet królowe polskie francuskiego pochodzenia nie zdołały utworzyć na swym dworze czegoś, coby przypominało życie towarzyskie salonów włoskich czy francuskich. Dopiero na schyłku 18 wieku na dworze Stanisława Augusta tworzą się stosunki towarzyskie, którebyśmy salonowymi nazwać mogli.

Nie jest to jednak salon polski właściwie. Przeniesiony żywcem z Paryża, jest on czemś sztucznie narzuconem, niezłączonem węzłami tradycji z życiem polaków, nie zrosniętem z gruntem, na którym powstał. Życie tego salonu obejmuje tylko najwyższą warstwę narodu, rozgrywa się jedynie w stolicy, nie przenika do ogółu, nie zmienia w niczem narodowego obyczaju. Język francuski, jakim posługują się uczestnicy zabaw na dworze królewskim, odbiera do reszty polski charakter tym towarzyskim zebraniom wyższych warstw społeczeństwa. To też obyczajowe oblicze polskie ginie pod tą maską paryskiego poloru, pod szychem obcej ogłady i kultury.

Niezależnie od dworu, przechowuje się w narodzie jego tradycyjna uprzejmość i grzeczność czysto polska. Nie wystarcza w Polsce posiadać polor umysłowy i ogładę, nabytą zagranicą: trzeba umieć jeszcze być „po polsku grzecznym” i odznaczać się „ludzkością”. Wyraz ten w starej polszczyźnie obejmuje wszystkie zalety towarzyskie, a więc uprzejmość, wesołość, nieusuwanie się od ochoty sąsiedzkiej i przyjacielskiej, a przede wszystkim — gościnność.

Tej polskiej grzeczności uczy się młodzież szlachecka w Krakowie i na dworach możnych panów. Nacisk główny w tem rodzimem dobrem wychowaniu kładzie się na właściwe zachowanie wobec starszych wiekiem lub znaczniejszych pozycją.

Zachowanie to powinien cechować szacunek i poważanie, ale nie uniżoność, bo polak zawsze godność swą zachować powinien, o swem „uczciwem”, t. j. o honorze pamiętać musi i „nie dać się posiadać”, t. j. zgóry traktować lub lekceważyć nikomu.

Uprzejmy względem wszystkich, powinien w domu własnym pierwsze miejsce wyznaczyć gościowi, naprzeciw niemu, aż do drzwi wyjść na spotkanie i do drzwi go też wyprowadzić.

W stosunkach towarzyskich cechować go powinno „bezpieczeństwo szczerze a towarzyskie”, to znaczy łatwość, prostota i naturalność, pozbawiona wszelkiej pozy i przesady.

Ta właśnie prostota stanowiła cechę pokrewną polaków z francuzami i za tę ich łatwość i swobodę towarzyską „francuzami północy” zostali nazwani.

Zalety te, obok wrodzonego dowcipu, inteligencji i kultury umysłowej, nieodzownym są warunkiem umiejętnego prowadzenia salonowej rozmowy. W dawnej Polsce konwersacja, w dzisiejszem tego słowa rozumieniu, nie stała się jednak rozrywką towarzyską: istniała tylko gawęda i pogadanka. To, co dziś nazywamy dowcipem, określano słowem „trefność”, a „dowcip” oznaczał bystrość umysłową.

Cechy te cenione były należycie i „człek biesiadny”, to jest obdarzony zaletami towarzyskimi, po wszystkie czasy otaczany był sympatją i pożądanym w gronie przyjaciół i znajomych.

L. Gerlachowa.

OSZCZĘDNOŚĆ TO BOGACTWO

Kwestja oszczędności w dobie powojennej wy-szuwa się na pierwszy plan wobec coraz trudniejszej i cięższej walki o byt. Racjonalne zużytkowanie pieniędzy, czasu, energii, zdrowia, produktów i narzędzi pracy stało się wszędzie zagadnieniem pierwszorzędnego znaczenia. Powstały zrzeszenia, propagujące ideę oszczędności. Założono pracownie naukowe do zgłębiania tej kwestji, instytuty do badania wszelkich przejawów życia gospodarczego. Obmyślono i opracowano sposoby, według których należy pracować i gospodarować, aby otrzymać maksimum korzyści i zadowolenia.

Na całym Zachodzie kwestja oszczędności jest traktowana niezmiernie głęboko, oceniana poważnie, rozwijana i ciągle aktualna.

Jest wprawdzie na Zachodzie szczęśliwy naród — francuzi, którzy stanowią wyjątek w tej sprawie. Wyjątek o tyle, że nawoływać ich do oszczędności, ani propagować tej idei nie trzeba. Stanowi ona integralną część ich psychiki. Każdy francuz i francuzka pracuje z myślą o spokojnej starości, a cichy domek własny, z grządkami kwiatów i krzewami róż, jest ideałem na starość dla każdego francuza. Oszczędzają tam wszyscy bez nawoływań, wprost rasowo. I błędem jest mniemanie o lekkomyślności i pustocie francuzek. Pracują one gorliwie we wszelkich dziedzinach życia, a zręczne ich ręce i rasowy wykwintny smak dopomagają im do łatwego ustrojenia się w rzeczy, własnymi rękoma robione „z niczego“. Robią to przez wrodzone poczucie oszczędności. To też popularna francuska piosenka z dumą opiewa oszczędność, jako cnotę narodową, powszechnie znaną.

Naród niemiecki, pracowity wogóle i zabięgliwy, po przegranej wojnie zmuszony do jeszcze większej zabięgliwości, wszelkie siły wytężył w kierunku racjonalizacji pracy i oszczędności. Ogromne ilości kas oszczędności rozsiano po miastach i wsiach. Propaguje się ideę oszczędności od podstaw, zaczynając tę propagandę od małych dzieci, którym się daje w upominku na gwiazdkę książeczki oszczędności i skarbonki do zbierania pieniędzy. Nawołuje się do oszczędzania na przykładach obrazkowych popularnych, zapomocą gier towarzyskich, specjalnie w tym celu opracowanych, zapomocą wycinanek, które się z myślą o całości składa i skleja. Propaguje się przytem celowość oszczędzania, np. na jakiś wymarzony, a niedostępny zakup, na wycieczkę, daleką podróż i t. p. Każda kasa oszczędności otrzymuje wzory pocztówek, kalendarzy, zakładek do książek, wybija na tem swój stempel i rozdaje członkom i ich rodzinom.

Ciągle, bezustanne propagowanie i wykazywanie korzyści, z oszczędności płynących, robi swoje. Istnieje tam przeszło 10.000 kas i miejsc do składania pieniędzy. Wkłady oszczędnościowe wynoszą 6.988.000.000 marek, czyli 14 miliardów złotych!

Ale ta propaganda oszczędnościowa na Zachodzie nie polega tylko na oszczędzaniu pieniędzy. Sereg pracowni naukowych i instytutów opracowuje sposoby oszczędzania zdrowia i sił, produktów i opalu, naczyń i urządzeń technicznych. Najgłębszą uwagę zwrócono na gospodarstwo domowe, wychodząc z założenia, że w Niemczech ośrodkiem gospodarki społecznej jest gospodarstwo domowe. Jest tam 12 milionów gospodarstw domowych, zatrudniających 18 milionów kobiet, to też racjonalne zaopatrzenie tych gospodarstw stało się jedną ze spraw, najpilniej opracowywanych. Chodzi tu o jaknajwiększą wydajność pracy, przy jaknajmniejszym zużyciu czasu i sił.

To też przy budowaniu nowoczesnych domów, przy ich rozplanowaniu, przy zaopatrywaniu w urządzenia techniczne — gospodarstwo domowe, czyli kobiece, gra decydującą rolę. Ustosunkowanie to posunięto tak daleko, że uznano za nieodzowne ścisłą współpracę gospodyń z przemysłem i techniką w tym celu, aby przemysł mógł wytwarzać przedmioty domowego użytku według wskazówek i życzeń gospodyń. Specjalny wydział przemysłu dla gospodarstw domowych zajmuje się opracowaniem naczyń i przyrządów gospodarstwa domowego, któreby były najtrwalsze, najtańsze i jaknajbardziej upraszczały pracę. Ten cel da się wybitnie osiągnąć przez zmniejszenie i ujednostajnienie typów naczyń. Uwidocznia się to doskonale np. na typach szklanych słoje do konserw. Wyrabiane są tylko dwie wielkości słoje, dwie wielkości przykrywek i gum. Oszczędza się zatem czas na dopasowywanie, przymierzanie i t. p. W ten sam sposób opracowują nadal maszynki do mięsa, tarki do jarzyn i t. p.

W Lipsku istnieje praktyczno-naukowa stacja do badań gospodarstwa domowego, gdzie bada się przedmioty domowego użytku. Przedmioty bez zarzutu — zaopatrzone są w specjalny stempel, który jest ważny na jeden rok.

Wobec zrozumienia doniosłości gospodarstwa domowego w życiu ekonomicznym kraju, zwraca się tam uwagę na każdy szczegół tego życia i bada oszczędność nie tylko z punktu widzenia finansowego, ale też z ogromnym naciskiem na oszczędność czasu, zdrowia i energii.

U nas kwestja tak szeroko pojętej oszczędności jest jeszcze polem, niejako odłogiem leżącym. Wprawdzie propaguje się ideę oszczędności i zakładania w P. K. O. książeczek oszczędnościowych. Wprawdzie różne kasy kredytowe, komunalne i gminne przyjmują wkłady, ale w porównaniu do Zachodu są to cyfry znikome. Maleńka Austrja ma wkładów na 1.700.000.000 złotych (miliard siedemset milionów). My, duże państwo — 800.000.000 złotych! (osiemset milionów złotych).

Winne są tu zapewne trudne warunki ekonomiczne kraju. Ale nade wszystko — brak zrozumienia tej sprawy, brak zabięgliwej myśli o przyszłości,

o starości, o chorobie. Dotyczy to nade wszystko samego odkładania pieniędzy. Polak, znajdujący się na obczyźnie, zarabiając, odkłada, zachęcony przykładem. Ten sam — w kraju nie odłoży, zarabiając nie mniej. Usprawiedliwiać się brakiem gotówki i trudnymi warunkami nie można wobec tego, że dochód z monopolu tytoniowego wynosi około 500 milionów złotych rocznie, a dochód z monopolu spirytusowego — 800 milionów złotych. Dodajmy do tego ilość alkoholu importowanego, a przestaniemy się usprawiedliwiać.

Odkładać i oszczędzać może nietylko ten, co wydaje mniej, niż zarabia, ale i ten, co wydaje racjonalnie i rozumnie. Jak wydawać i jak kupować, jak wybrnąć zwycięsko z budżetu — to jest nade wszystko zadaniem kobiety, gospodyni, która może poświęcić się prowadzeniu własnego gospodarstwa.

Sprawa gospodarstwa domowego, bagatelizowana, traktowana z pobłażaniem i niejako zgóry, i u nas siłą rzeczy wysuwa się po wojnie na jeden z pierwszych planów. I u nas stowarzyszenia kobiece przystąpiły wreszcie energicznie do opracowania warunków pracy domowej, do badania wydajności tej pracy, jej racjonalizacji i udoskonalenia. Już sam ten fakt niewątpliwie zbliża nas do systemu oszczędzania pracy, a tem samem do oszczędzania czasu, zdrowia i sił. Mówi się u nas coraz częściej o systemie Taylora, o urządzeniach i udoskonaleniach gospodarczych.

Organ Koła Studjów gospodarstwa domowego przy Stowarzyszeniu Zjednoczonych Ziemianek oddaje w tej sprawie ogromne usługi.

Wszystko to jednak, co się robi u nas dotychczas, dotyczy, niestety, warstw uprzywilejowanych, t. j. tych, które mogą sobie pozwolić na różne gospodarskie ulepszenia. System racjonalizacji pracy nie sięga nawet echem do podstaw. Pracuje się tam, na wsi szczególnie, w warunkach zupełnego prymitywu. I tu pozostaje olbrzymie pole do propagandy. Należy jak najrychlej uświadamiać kobiety wiejskie i miejskie gospodynie, jak pracować, aby oszczędzać nade wszystko swoje zdrowie i siły, jak oszczędnie i najkorzystniej zużyć czas, jak gospodarzyć, aby w tej pracy nie być nieznośną jędzą, lub ofiarną męczennicą. Jak mądrze i racjonalnie szafarzyć zdobytym z trudem, lub posiadany groszem, aby go i na „czarną godzinę“ starczyło. Jak wreszcie raz zwalczyć tradycyjne lekceważenie gospodarstwa domowego, wykazując faktami jego doniosłą rolę w życiu każdej rodziny.

Trzeba zrozumieć nietylko wartość pieniądza, ale czasu i sił własnych, trzeba się z tem liczyć i postępować według zgóry zakreślonego planu.

Postaramy się o tem pomówić innym razem, wychodząc z założenia, że w rzeczach trudnych „początek znaczy więcej, niż połowa“ — jak mówił Arystoteles. A chociaż nam oszczędzać tak trudno, spróbować trzeba.

M. Dobrowolska.

LETNIE PRZECHOWYWANIE DYWANÓW

Wszelkie dywany, a szczególnie dywany wschodnie, są rzeczą tak cenną, że należy dużych starań dołożyć, ażeby się jaknajmniej niszczyły. Wprawdzie te dywany wschodnie są nadzwyczaj trwałe, i od użycia, od chodzenia po nich nabierają tej gładkości, która stanowi ich największą zaletę — jednak i one nie oprą się silnemu działaniu słońca, niszczącemu ich barwy, i największym szkodnikom — molom. To też na lato należy je koniecznie zdjąć i przechować w taki sposób, aby przed obu niebezpieczeństwami uchronić.

Jeszcze na wsi, gdzie dwór jest zwykle ocieniony, lub w godzinach największego upału zamyka się okiennice, gdzie jest możność częstego trzepania i wietrzenia dywanów — zabieg ten nie jest tak konieczny, i dywany przez lata całe na miejscu pozostawać mogą. W mieście, gdzie trzepanie zawsze jest zbyt rzadkie, odkurzacze elektryczne przeważnie tylko z jednej strony dywany czyszczą. — pozostawienie dywanu na podłodze, szczególnie, jeśli na czas jakiś wyjeżdżamy, równałoby się poddaniu go ostatecznej zagładzie.

Przedewszystkiem należy obejrzeć dywan, i jeśli są na nim jakie plamy tłuste, lub słodkie, zaprać je, używając do tego rozgotowanego barskiego mydła i twardej szczotki ryżowej. Widocznie mole mają też rozwinięty zmysł smaku, gdyż takie tłuste i słodkie miejsca przedewszystkiem wyżerają. Po takim zapraniu plam, wysuszyć dobrze dywan przy otwartych oknach, oczyścić jaknajdokładniej odkurzaczem, lub twardą szczotką ryżową, wynieść na powietrze, wytrzepać mocno. Dać powisieć na wietrze, chociażby godzin parę — na dłużej nie pozwolą w dużych miastach przepisy, ograniczające trzepanie do dziewiętej rano. Jeszcze raz lekko wytrzepać, wyczyścić ryżową szczotką dywan, jeszcze wiszący na sznurze.

Dobrze jest mieć wałek z lekkiego drzewa, długości najszerszego z naszych dywanów; jest on ogromnie pomocny przy letnim ich przechowywaniu. Teraz dywany układamy na podłodze, jeden na drugim, każdy rząd przesypując zielem „bagnem“, lub przekładając arkuszami gazet, obficie skropionymi zwykłą terpentyną. Gazety należy skropić na jakąś godzinę przed użyciem, aby dobrze nią przesiąkły. Terpentyna z farbą drukarską jest specjalnie znienawidzona przez mole, a przechwalana naftalina nietylko im nie szkodzi, ale nawet zdają się specjalnie chętnie lęgnąć w jej sąsiedztwie. Kto nie znosi zapachu bagna, ani terpentyny, niech użyje liści tytoniu-machorki, albo liści paczuli.

Gdy wszystkie dywany równo jeden na drugim ułożone, zwijamy je w równy rulon, uważając, aby

nigdzie nie było fałd, ani załamań. Przy tem zwijaniu bardzo jest pomocny walek, o którym wyżej wspominałam — na niego się właśnie dywany nawija; bez wałka jednak można też przy staranności dobrze je zwinąć. Teraz bierzemy duże kawały płótna, naprzykład grube, lniane prześcieradła, i oszywamy nimi szczelnie rulon z dywanami. Położone pod ścianą, nie

zabierają dużo miejsca, a są wybornie zabezpieczone od wszelkiego rodzaju uszkodzenia.

¶ Nie należy nigdy dywanów składać: na miejscach złożonych tracą moc i zawsze po rozłożeniu wyglądają jakby zgniecione. Rozwinięte z rulonu, są świeże, jakby wyszły wprost z warsztatu.

Pani Elżbieta

Z DZIEDZINY ULEPSZEŃ I UŁATWIENÍ

Nowy typ szczotki wskazuje nam rys. 1. Służy ona do czyszczenia patelni. Z jednej strony jest

szczotka ostra, z drugiej guma do zbierania nieczystości i wygładzania powierzchni.

*

Ogromnie wygodny i praktyczny jest stół składany. Nazewnątrz wygląda, jak szafa, w ścianę wpuszczona. Po naciśnięciu odpowiednich guzików odpadają jedne drzwi, które zapomocą płaskiej nogi ustawia się, jak ławkę. Środkową ścianę stanowi stół, pod którym umieszczona jest również deska do prasowania. Chowa się to wszystko po użyciu automatycznym sposobem. Jest to niezmiernie praktyczne w małych kuchniach, nie zabiera niepotrzebnie miejsca, a oddaje rzetelną usługę w gospodarstwie domowym (rys. 2).

*

Rysunek 3-ci przedstawia nowy typ pokrywki na puszkę do mleka skondensowanego. Otwiera się ona łatwo zapomocą przekręcania, poczem po odlaniu mleka, nasuwa się zpowrotem na otwór, co zapobiega psuciu się mleka w otwartej puszcze.

*

Doskonały jest przyrząd do zaciągania podłóg płynnym woskiem. Wlewa się go do specjalnego cylindra, skąd wypływa na umieszczony pod spodem kawał filcu, którym równomiernie rozcieramy wosk po podłodze (rys. 4).

*

Oryginalna jest prosta rączka przy dzbanku. Wgłębienia w naczyniu ułatwiają ujęcie go ręką. Jest to znacznie wygodniejsze i praktyczniejsze od dzbanków z zewnętrznym uchem, które tak łatwo się odbija lub odrywa (rys. 5).

M. D.



1.

2.

4.

3.

5.



NÓŻKI CIEŁĘCE W GALARECIE.

Jeden mózdzek cielőcy wymoczyć przez godzin parę, zdjąć zeń krwawą błonkę i ugotować w osolonym wrzątku z łyżką octu. Ostudzić. Na godziny trzy przedtem nastawić dwie nóżki cielőce z półtora litrem wody, której narazie nie solić; szumować starannie. Po godzinie włożyć sporą marchew, pietruszkę, kawałek selera i cebulę, kilka ziarn pieprzu i zieleń, listek. Gotować, aż nóżki się zupełnie rozgotują i odpadną same od kości. Smak przez ten czas powinien wygotować się do trzech szklanek. Przygotować dwa jaja, ugotowane na twardo, trochę zielonej pietruszeczki i kilka plasterków cytryny. Nóżki wyjąć, pokrajać w cieniučne paski, starannie oskrobać resztki mięsa od kości. Smak sklarować białkiem, rozbitym z paru łyżkami dobrego octu, precedzić przez gęste płótno. W foremce glinianej lub porcelanowej ułożyć ładnie pokrajany w plasterki mózdzek, cytrynę i pietruszeczkę. Na to położyć pokrajane nóżki, przekładając je również w paski pokrajanymi jarzynkami i plasterkami jaj, zalać wszystko sklarowanym smakiem i wynieść na chłód. Jeśli zrobimy tę galaretę w wigilję dnia, kiedy ma być podana, zastygnie doskonale nawet w pokojowej temperaturze. Podając, wyrzucić na półmisek, ubrać sałatką zieloną i podać z sosem musztardowym, lub chrzanem z octem.

MAKARON Z RAKAMI.

Na sześć osób ugotować z koperkiem i cebulą dwanaście dużych lub osiemnaście mniejszych raków. Oczyścić. Skorupki grzbietowe i szyjki przechować. Mięso z łapek i wnętrzości, po odrzuceniu pęcherzyka z czarną cieczą i kiszeczki białej — usiekać drobno wraz z 15 deka pieczonej lub gotowanej cielőciny, garstką koperku, łyżką masła. Wsypać cztery — pięć łyżek tartej bułeczki, wbić duże jajko całe, wymięszać, dodać tyle mleka lub rosołu, aby farsz nie był twardy, osolić do smaku, nadziać tem skorupki grzbietowe. Resztę skorup utłuc jaknajdrobniej i smażyć z dziesięcioma deka masła; gdy masło nabierze ładnego, czerwonego koloru, podlewać po kilka łyżek rosołu, a masło, wypływające na wierzch, zbierać łyżką do kubeczka. Zrobić zasmażkę z łyżki masła i dwóch łyżek mąki, rozprowadzić to trzema szklankami zimnego rosołu (licząc z tym, w którym się dusiły skorupki), zagotować raz. Zaprawić pół szklanką śmietany, wsypać garstkę zielonego koperku i włożyć przekrajane wzdłuż szyjki

rakowe. Dodać w ostatniej chwili masło rakowe. Rondel z tym sosem wstawić w drugi rondel z gorącą wodą („au bain marie“) i trzymać w nim na blasze. Jeśli gotować sos, już zaprawiony masłem rakowym, straci kolor i szyjki stwardnieją. Oddzielnie ugotować pół kilo grubego makaronu, połamanego na trzycentymetrowe kawałki, odcedzić, przelać wodą na durszlaku, aby się nie skleił; skorupki nadziewane odgotować oddzielnie. Na środku półmiska ułożyć makaron, polać go połową sosu z szyjkami, wkoło obłożyć nadziewanymi skorupkami. Resztę sosu podać oddzielnie w sosjerce.

FORSZMAK Z CIEŁĘCINY.

Czterdzieści deka gotowanej lub pieczonej cielőciny, tyleż gotowanych kartofli, jeden dobry śledź, garstka zielonego koperku, kwaterka śmietany i trzy jaja. Cielőcinę, kartofle i oczyszczonego śledzia przepuścić przez maszynkę. Utrzeć tę masę ze śmietaną, koperkiem i żółtkami. Jeśli mało słone — dosolić, odrobinę popieprzyć, dodać ubite na sztywną pianę białka, przelożyć do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką foremki i upiec w dobrze gorącym piecu, aby się ładnie zrumieniło. Oddzielnie podać przysmażone kartofle i śmietaną w sosjerce.

SZARLOTKA Z RABARBARUM.

Czterdzieści deka mąki, dwadzieścia deka masła i dziesięć deka cukru-pudru zagnieść na kruche ciasto, dodając tyle śmietany, aby ciasto nie było zbyt twarde i dało się cienko rozwałkować. Połowę tego ciasta wyłożyć brytfankę. Osiemdziesiąt deka rabarbarum oczyścić z włókien, poszatkować drobno, położyć grubą warstwą na ciasto, posypać trzydziestoma deka cukru, utłuczonego z cynamonem. Pokryć drugą połową ciasta, nakłuć widelcem, aby para wychodziła, upiec w dosyć gorącym piecu, potem trzymać jeszcze minut dwadzieścia w otwartym, aby rabarbarum dobrze się zmacerowało. Pokrajać na zgrabne kawałki i obsypać obficie cukrem-pudrem.

KWAS CHLEBOWY.

Czterdzieści deka czarnego chleba, razowego (najlepiej przechowywać w tym celu skórki) zalać dwunastoma litrami przegotowanej lub filtrowanej wody. Po 24 godzinach wodę zlać, chleb do niej wycisnąć przez płótno. Włożyć w to jedno deka drożdży i dwadzieścia łyżek cukru; wymięszać dobrze i dać się ustać. Przygotować dwadzieścia zwykłych butelek od wina. Do każdej włożyć po trzy rodzyнки, po pół plasterka cytryny i po łyżce cukru. Rozlać kwas do butelek, zakorkować mocnymi korkami, korki obwiązać szpagatem lub drutem. Po dwunastu godzinach wynieść na lód lub do piwnicy: w ciepłe butelki porozrywa.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Aby zapobiec przykrym skutkom oparzenia, trzeba natychmiast posypać oparzone miejsce proszkiem sody, lub posmarować rozbitym żółtkiem. Dobrze jest też przyłożyć gałganek, zmoczony spirytusem. Wreszcie owinąć bolące miejsce kawałkiem waty higroskopijnej i trzymać ją tak długo, aż ból ustanie.

* * *

Gdy pszczoła, lub osa ukąsi, natychmiast wyjąć żądło i smarować bolące miejsce amonjakiem, lub okładać gałganekami, maczanymi w amonjaku: nie spuchnie wcale. Dobrze jest również natrzeć ukąszone miejsce natką od pietruszki, a również nie spuchnie.

KORESPONDENCJE

Pani A. S. — Białobłoty. Odpowiednie zestawienia przesyłamy pocztą; tymczasem radzimy kupić Nr. 61 „Życia praktycznego“ p. t.: „Dyspozycje śniadań, obiadów i kolacyj“ — znajdzie tam Sz. Pani dużo pożytecznych wskazówek.

Pani B. W. — Denysów. Jeżeli Sz. Pani jedzie tylko dla kuracji, radzimy zabierać jaknajmniejszą ilość ubrania, z bielizny kilka zmian; lepiej uprać na miejscu, niż wieźć kufry z sobą. Parę sukien letnich do ciągłego chodzenia, jedna strojnieszka na wszelki wypadek; płaszcz konieczny (może z gabardiny impregnowanej), odpowiednia do niego czapeczka na

drogę i do ранego wyjścia, drugi mały, gładki kapelusik strojnieszki ze słomki i niczem nie zastąpiony komplet wełniany „trois pièces“: spódniczka, kamizelka bez rękawów i zakieci. Przy powracającej modzie kostjumów można brać mniej sukien, a tylko elegancki kostjum na popołudnie, z paroma bluzkami na zmianę, do niego dostosowany drugi kapelusik. Oto i wszystko; naturalnie, bez osobistych drobiazgów, zależnych od potrzeb i przyzwyczajęń.

Pani E. Z. — Wielichowo. Żądane wzory w naturalnej wielkości na papierze, to jest pół laufra, czwarta część serwetki i róg serwetki (serweta zastosowana wielkością do stołu) — kosztować będą 5 zł. z przesyłką pocztową. Wrazie, gdyby Sz. Pani chciała mieć wzory, prosimy o przysłanie należności przekazem, a natychmiast wyślemy. Książeczka o hafcie Toledo wyjdzie w najbliższym czasie. Wkrótce ukaże się również zeszyt „Życia praktycznego“ p. t.: „Bielizna dziecinna“, opracowany przez specjalistkę, gdzie znajdzie Sz. Pani wyczerpujące wskazówki w żądanych kwestjach.

Panu K. W. — Paszkowszczyzna. Niech Sz. Pan zgłosi się do Towarzystwa Ogrodniczego — dział informacyjny (Bagatela 3). Oni wskażą, gdzie się zwrócić. Trzeba też dowiedzieć się w firmie L. Spiess: Plac Teatralny 18 — która ma dużą fabrykę przetworów chemicznych w Tarchominie. Jest również w Warszawie Towarzystwo pod firmą „Polskie Ziola“, które specjalnie się niemi zajmuje; trzeba zawczasu porozumieć się z kimś kompetentnym, bo najtrudniejsza rzecz — to dobre sprzątnięcie, wysuszenie i przygotowanie ziół do zbycia. Niech się Sz. Pan nie zniechęca początkowymi trudnościami, jest to gałąź przemysłu o wielkiej przyszłości; ziola potrzebują jednak nie tylko wyprodukowania, ale i umiejętnego wysuszenia i przygotowania, gdyż dotąd nasze nie dadzą się porównać z zagranicznymi. Może Sz. Pan porozumie się z panem inżynierem Schönfeldem — on udzieli dużo pożytecznych wiadomości w tym względzie. Adres jego: Marszałkowska 53.

Adres „Polskich Ziół“: Chłodna 5, w Warszawie.

Nowe źródło dochodu dla pań, mieszkających na wsi lub pod miastem, to *hodowla roślin lekarskich* — to też radzimy nabyć jaknajprędzej książeczkę

p. t.

ZIOŁA LEKARSKIE

najlepszym źródłem dochodu

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja — Warszawa, Pl. Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. Warszawa Nr. 13.555.

Nareszcie każda z Pań będzie mogła własnoręcznie ozdobić sobie modną suknię, szal lub apaszkę

bo ukazała się książeczka p. t.

MALOWANIE, TAMPONOWANIE, LIWORYZACJA

która uczy wykonania tych wszystkich robót i daje wzory naturalnej wielkości

Cena 1 zł. 50 gr. Z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Pl. Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 13.555.

WŁOSÓW



WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY



CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Zwił. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rybarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Co dają powieści Zarzyckiej.

Leży przedmną książka p. Ireny Zarzyckiej pod fascynującym tytułem „Jawnogrzesznica“. Chciałabym o niej powiedzieć słów kilka. Pomijam okładkę „symboliczną“ i ohydą zarazem, taką, jaka dawniej zdobiła książki pornograficzne, sprzedawane sekretnie, lub humorystyczne pisma à la „Bocian“.

Książkę poprzedza notatka, że autorka wstępnym bojem, bez żadnej reklamy, zachwycała i podbiła czytającą publiczność „Dzikuską“, a zapewniła sobie wielką poczytność „Jawnogrzesznica“. Rzeczywiście, tak jest. Z przerażeniem konstatując ten fakt, chcę zanalizować jego źródło.

Poziom obyczajowo intelektualny tej książki jest absolutnie poza wszelkim konkursem; naiwność w traktowaniu typów zdumiewająca; brak jakiegokolwiek konsekwencji. Nie możemy, bowiem, sobie wytłumaczyć, jakim sposobem dziewczyna — kompletna sierota, wychowująca się z łobuzami na ulicy, mieszkająca niby przy ciotce-potworze, ładna, obdarzona wulkanicznym temperamentem, otoczona mężczyznami, którzy wszyscy, bez wyjątku, z nią flirtują, wywieziona przez szlachetnego i, naturalnie, szalejącego za nią kuzyna do Warszawy, do jakiegoś dziadka, biegająca tu z kolegami z biura i uniwersytetu, po dancjach i gabinetach, a nakoniec tańcząca w modnym kabarecie i, naturalnie, otoczona tłumem wielbicieli: dyrektorów, baletmistrzów, kolegów-komunistów i t. d., rojem koleżanek z „podkaszanej, dziś już nagiej Muzy“ — jak, powtarzam, taka dziewczyna nie tylko zostaje niewinna, ale przede wszystkim mniej uświadomiona, niż przedwojenna pensjonarka?

Wiemy doskonale, czym jest wogóle miasto, a w szczególności — Warszawa; wiemy, co to jest ten cały świat artystyczno-kabaretowy. Pani Zarzycka pisze o nich, jak o aniołach bezcielesnych „corps glorieux“. Dyrektor, baletmistrz, koleżanki, wszystko chucha na łabędzie skrzydła „boskiej Lu“, szanuje jej niewinność i, naturalnie, zachowuje się przy niej, jak w salonie. Dodajmy do tego całą misterną koronkę artystycznych opisów, jak w „Dzikusce“ tak i w „Jawnogrzesznicy“, tych „bezbiorów“, tych tarzających się w koszulce po podłodze, tych pieszczoł „pożarnych“ i ten bezgraniczny i bezkrytyczny zachwyt, jakim autorka otacza swoją bohaterkę, apoteozując jej szlachetność i czystość! Wreszcie w nagrodę autorka ofiarowuje jawnogrzesznicy męża; „un chevalier sans peur et sans reproche“, szlachetnego i nieszablonowego, o wyższych aspiracjach, ziemianina!

„Jawnogrzesznica“ jest czemś w rodzaju nieudolnej namiastki wielkiej powieści Zapolskiej „Kobieta bez skazy“. Zapolska mocą swego śmiałego, wielkiego talentu dała nam typ, tak bardzo pospolity zresztą, rzekomej kobiety bez skazy i wzbudziła w czytelniku... wstręt i nieskończoną pogardę dla salonowej prostytutce, stokroć gorszej od tej ulicznej, pełnej grozy i niewyczerpanego nigdy tragizmu. P. Zarzycka daje nam typowy okaz powojennej półdziewicy, ale otacza ją nimbem niezwykłego czaru, szlachetności i... czystości.

Pomijam literackie niekonsekwencje, aż nadto dla każdego myślącego człowieka widoczne, ale chcę zwrócić uwagę ogółu na wychowawczą stronę tej książki. Żyjemy w okresie chaosu, z którego ma się dopiero wyłonić nowy typ kobiety-człowieka. Stare zasady obalono — nowe niebardzo jeszcze są, a tymczasem — bezkrólowie moralne najkompletniejsze. Rodzina, jako jednostka podstawowa społeczeństwa, zachwiana. Każda myśląca matka, mająca młode córki, musi przechodzić męki, wobec coraz to przeciągającego się okresu tworzenia nowych wartości.

Pytam się, co wyrośnie z kobiet, karmiących się Zarzycką, lub „Iwonką“ Germana i t. p.?

Beznadziejna pustka wieje z tych książek — niema w nich nic: ani literackich walorów, ani artystycznych, ani ideowych, ani obyczajowych, ani intelektualnych; niema w nich zła grzechu, jako potęgi niszczącej — jak u Przybyszewskiego — ale jest mały, ohydny grzeszek. Te wieczne nagości, koroneczki, koszuleczki; te gołe niewiniątka, szlachetne, jak lilje przeczyste, ale swoją „niesamowitą urodą“ wzbudzające szal i podziw w całym rodzie męskim. Inne typy kobiece panien z towarzystwa przedstawione są nader ujemnie, jako czarne charaktery — poczciwe są tylko koleżanki po fachu.

„Je ne demande pas mieux“, mówi sobie każda młoda panna: „występuję w kabarecie au naturel, łażę po gabinetach, całuję się na prawo i na lewo, używam życia, wszyscy szanują moją pseudo niewinność, a potem wychodzę cudownie zamąż“.

Matka narzeczonego „boskiej Lu“, omal że nie Grakchów, rodzeństwo najwzorowsze, wszystko to stojące na świeczniku moralno-społecznym — przyjmuje kabaretową tancerkę z otwartymi ramionami. Matka podobno wierzy nieomylnie w trafność wyboru syna.

Szanowna Autorko! wszelka wiara musi mieć swoje granice, a jest nią — zdrowy rozsądek. Jeszcze jedno: żyjemy w okresie, kiedy młodzież żeni się nie-

chętnie, ale jeżeli się żeni, to, żadna sensacji, niestety zbyt często szuka sobie żon wśród artystycznej cyganki, a takie związki szczęścia nie dają wogóle, a wieśniakowi — w szczególności. Dlaczego p. Zarzycka każe Tadeuszowi nie tylko żenić się z awanturką (nazwijmy rzecz po imieniu), ale jeszcze po roku konstatuje ich niezmacone szczęście?

Zła i szkodliwa książka, niemoralna i bezgranicznie bezmyślna. Oby więcej takich nie pisano! Nie wolno lekkomyślnie potęgować obyczajowego chaosu wśród młodego pokolenia, bo konsekwencje tego będą fatalne.

Uważam, iż trzeba, aby kobiety-matki i wogóle kobiety myślące wypowiedziały się w sprawie wartości takiej „literatury“.

Marja Obiezierka.

Nie mając swoich — wychowujmy cudze.

Samotność! Ileż w tem słowie ciemnych barw! Zdawałoby się, że komu los zgotował wędrówkę po samotnej ścieżce życia, ten musi chodzić po niej z zamglonym wzrokiem i głową spuszczoną pod ciężarem osamotnienia. Niema celu — człowiek sam sobie jest zamałą ideą, aby mógł skupić na sobie wyłącznie wszystkie siły żywotne — jednym słowem, apatja wzbiera w sercu i zniechęcenie...

Dobroczytność... owszem, ale nie wiem, czy starczy energii na tem polu do końca życia — boć najpewniej i najdłużej trzymają nas uczucia i czyny, z których nie tylko dajemy, ale i bierzemy.

I dlatego, choć iście serdeczną myślą kobiecą jest związek samotnych kobiet, przystań desperatów (na ten cel ja i moje znajome z Łodzi gotowe jesteśmy się opodatkować), jednak obrałam inną drogę dla wypełnienia mej samotności. Ja muszę czuć przy sobie żywe tętno malutkiego serca — muszę kogoś prowadzić za rączkę, być komuś niezbędną; muszę zdobyć miłość bezinteresowną, przyjacielską malutkiej córeczki-wychowanki — wtedy będziemy sobie wspólnym oparciem.

Tak sobie wyobrażam naszą obopólną niezbędną, tryb życia i ciepło stworzonej rodziny — że już dziś mi tęskno i żal, że nie mogę zaraz urzeczywistnić swoich marzeń. A nie mogę dlatego, iż dopiero w tym roku zdobyłam samodzielny kąt, własny pokój — więc trzeba to gniazdko umeblować, wygodnić i dopiero sprowadzić maleńką tyrankę, którą może gdzieś w zakładzie dla podrzutków, ponuro, bez ciepła serca się wychowywała.

A może więcej jest młodych samotnic, które w ten sposób instynkty macierzyńskie chcą zaspokoić? Możebyśmy się porozumiały, gdy już zaczniemy wychowywać nasze dzieci? Boć trzeba zdobyć dodatek urzędniczy na dziecko, przybrane, jeśli się jest urzędniczką państwową, jak ja.

Tak, tu jest wiele do obmyślenia, do pracy. Wogóle warto byłoby przedyskutować ten temat. Ciekawa jestem poglądów innych pań.

L. J. — Łódź.

O przygotowanie kobiet do życia rodzinnego.

P. L. Rudoszańska w artykule swoim „Czy w obronie rodziny“ — pisze:

„... Przykład matki, umiejącej pogodzić pracę zawodową z obowiązkami rodzinnymi, ma znaczenie pierwszorzędné“.

Jednocześnie w całym swoim artykule potępia poczynania T. N. S. W., które to poczynania miałyby na celu zapoczątkowanie ruchu przygotowania kobiet do życia rodzinnego i umiejętności pogodzenia tych obowiązków z pracą zawodową.

Na pierwszy plan wysuwa p. Rudoszańska konieczność zdobycia przez kobietę zawodu, nazywając to nawet „jedynym jej posagiem“.

Czyż naprawdę wychowanie kobiety da się zamknąć w ramach zdobywania zawodu? czy kobieta — pierwszorzędny lekarz, profesor, lub prawnik — będzie mogła być równocześnie dobrą panią domu i wychowawczynią przyszłego pokolenia, jeśli jej nie damy do tego żadnego przygotowania?

„Nastawienie psychiki dziewcząt do ich przyszłej roli żon i matek“ pozostawia p. Rudoszańska wyłącznie rodzinie, a jednocześnie wychowuje przyszłą kobietę tak, aby miała tylko zawód w ręku i mogła pomagać mężowi w utrzymaniu „materjalnie“ rodziny.

Stwarza się sytuacja bez wyjścia, gdyż ani dom, ani szkoła nie jest w stanie dać przyszłej kobiecie przygotowania do życia rodzinnego.

August Bebel w książce swojej „Kobieta i Socjalizm“ — pisze: „Kobieta nowego społeczeństwa jest społecznie i ekonomicznie niezależna; nie podlega uciskowi, ani wyzyskowi; równouprawniona z mężczyzną, jest panią swoich losów. Wychowanie jej różni się od męskiego tylko tyle, o ile tego wymaga różnica płci“. A więc, różni się jednak.

Jeśli więc ten wielki myśliciel, w najidealniejszym przyszłym ustroju socjalistycznym, po dokonaniu rewolucji w całym życiu domowym, t. zn.: centralne jadalnie, pralnie, zakłady czyszczenia, ogrzewania, oświetlania i t. d., po odjęciu kobiecie wszelkich trosk o prowadzenie domu i wychowanie dzieci — nawet wtedy przewiduje jednak różnicę w wychowaniu młodzieży żeńskiej i męskiej, to czemuż my dzisiaj tej różnicy tak się boimy?

Dzisiejsza kobieta musi, prócz modniarki czy buchalterki, być jeszcze gospodynią domu i wychowawczynią swych dzieci. A ponieważ życie nasze staje się coraz cięższe, nie wolno kobiecie marnować kilku lat życia na zdobywanie własnego doświadczenia w tych dziedzinach; należy ją zatem do tego przygotować, należy ją tego nauczyć.

Jeżeli jednak nie nauczy tego ani dom, ani szkoła, bo to byłoby „rezygnacją z osiągniętego postępu“ — to wtedy czynności pani domu i wychowawczyni jej dzieci wykonują: płatna gospodyni, bona służąca, a pieniądze, zarobione przez panią domu i przeznaczone na utrzymanie normy wymagań człowieka kulturalnego — roztrwania płatna służba.

Daleka jestem od tego, aby program szkół średnich obniżyć, i kosztem matematyki, języków czy historii — wprowadzić naukę kucharstwa, szycia i pie-

łęgpiarstwa. Nie! to byłoby „odwrotem ze zdobytych pozycji”. Ale jeśli chłopcy mogą od 16 lat należeć do przysposobienia wojskowego i poświęcać na to 2 godziny tygodniowo, a po skończeniu 21 lat iść na półtora roku do służby wojskowej, dając w ten sposób najżywotniejszy okres swego życia w ofierze Ojczyźnie — to kobieta może, po skończeniu szkoły średniej czy zawodowej, ofiarować rok swego życia przyszłemu ognisku domowemu, które jest częścią Ojczyzny — idąc na roczne kursa gospodarstwa domowego, któreby ją przygotowały do przyszłej roli gospodyni i matki. A potem niechaj idzie zdobywać zawód, ewentualnie stanie do pracy; ale dzisiaj jeszcze, w przyszłym życiu rodzinnym posagiem jej niechaj będzie przygotowanie do życia domowego, a zawód swój niech traktuje, jako kapitał rezerwowy, którego w razie potrzeby, lub w wolnych chwilach, będzie mogła użyć.

J. W. z Zagłębia.

Co robić po ukończeniu szkoły zawodowej? (W odpowiedzi Łodziance).

Wyczytawszy w „Naszej Mównicy” w liście pod powyższym tytułem, przykrą wiadomość z Łodzi, że obecnie dużo uczennic, po ukończeniu szkół zawodowych „nie pracuje w swoim fachu, a czepia się czego może, bierze, co się da”, przesyłam w tej kwestii wiadomości z prowincji.

Kierując od lat 30-tu zgórą szkołą zawodową hafciarską w Makowie Małopolskim, stwierdzam, że te szkoły, które organizował Wydział Krajowy w Małopolsce, zakładano na prowincji w miejscowościach takich, gdzie istniał już jakiś rodzaj przemysłu domowego, dla podniesienia i rozwoju rzemiosła, oraz dla stworzenia źródła zarobkowania dla miejscowej ludności. W tym celu powstały szkoły zawodowe żeńskie, jak: koronkarska w Zakopanem, Bobowej, Kańczudze i Jaworowie, oraz hafciarska w Makowie. Rozwijały się pomyślnie i cieszyły liczną frekwencją uczennic, które, po ukończeniu szkoły, pracowały i dotąd pracują w tym samym zawodzie, z zamiłowaniem (w Makowie kilkaset hafciarek), na utrzymanie swoje i rodziny. Od kilku lat jednak, gdy wprowadzono w szkołach zawodowych opłaty szkolne, liczba uczennic, córek ubogich rolników lub wyrobników, zmniejsza się rokrocznie. Na zmniejszenie frekwencji wpływa również i ta przyczyna, że obecnie ukończenie 7 klas szkoły powszechnej ułatwia przyjęcie do seminarjum nauczycielskiego, wskutek czego wytworzyła się hiperprodukcja kandydatek do zawodu nauczycielskiego, na niekorzyść szkół zawodowych, założonych dla kształcenia zdolnych, rzemieślniczych sił przemysłowych.

U nas, w Makowie, absolwentki szkoły znajdują zaraz zatrudnienie w Kółku absolwentek, w Spółdzielni hafciarskiej, w pracowni hafciarskiej, oraz prywatnie, a także wyjeżdżają do haftowania wypraw i do pracowni bielizniarskich w kraju.

Na zorganizowanie większej spółdzielni hafciarskiej i na eksport zagranicę brak nam funduszków, oraz poparcia handlowego dla zbytu wyrobów. E. A.

O praktyki religijne w szkołach (w odpowiedzi p. Ferencowi).

„.... chyba, że rodzice nie idą do kościoła, a do restauracji”. Otóż właśnie. Szkoła od biedy mogłaby usunąć obowiązek praktyk religijnych, gdyby rodzice wzięli go na swe barki. Pan Ferenc „nie oddałby dziecka swego pod wyłączną opiekę nauczyciela, by ten urabiał w niem ducha wiary”. Rozumiem to w ten sposób, że urabianiem ducha wiary w swem dziecku zająłby się sam. Ale tacy ojcowie, czy tacy rodzice są wyjątkami lub przynajmniej mniejszością. Większość rodziców rekrutuje się z niewierzących, czy niepraktykujących, czy też tylko obojętnych pod względem religijnym, lub też tak spracowanych, że myć ubrać i zaprowadzić dzieci do kościoła — nie mają siły ani chęci. Nie można się łudzić: dzieci, które ze szkoły nie pójdą do kościoła, nie pójdą tam wcale. Może wówczas większa będzie ilość wybitych szyb przez wałęsającą się dziatwę, niż miało to miejsce sporadycznie podczas spowiedzi dzieci źle dozorowanych i źle wychowanych przez złych wychowawców.

Nie miejsce tu rozpisywać się o znaczeniu religji dla całokształtu wychowania młodzieży. Tego zresztą p. Ferenc nie neguje. Cały spór dotyczy tylko „przymusu” praktyk religijnych w szkołach. Sądzę, że są tylko dwa rzeczowe powody żądania zniesienia tych praktyk. Pierwszy, poruszony przez p. Ferencą, że nauczycielstwo chce mieć niedzielę wolną od zajęć z dziećmi; drugi, że zniesienie praktyk religijnych będzie pierwszym etapem w usunięciu religji, jako takiej, ze szkół, o czym p. Ferenc nie pisze, prawdopodobnie nie myśli, ale o czym myślą inni.

Powód pierwszy jest egoistyczny, i o tyle liczyć się z nim nie trzeba, że przeważnie ludzie pracujący niedzieli zupełnie wolnej nie mają, zarówno w sferze urzędniczej, jak w zawodach wolnych. Powód drugi sięga głęboko w istotę szkolnictwa i życia społecznego, jest wywrotowy w swem założeniu i nieobliczalny wprost w skutkach.

Wszystkie motywy p. Ferencą są „niepsychologiczne”; co zarzuca on p. Żyźniewskiej, są przytem nielogiczne. Zacznę od tego, że odbieranie dzieciom czegoś narzuconego nie jest ich krzywdą. Krótko odpowiem, że nie tylko praktyki religijne są dzieciom w szkole „narzucone”, ale i... lekcje. Możeby i przymus uczenia cofnąć?!

Drugi argument: jeżeli dzieci katolickie prowadzi się do kościoła, to należy się to i innym wyznaniom. Nie wiem, jakie są obowiązki dzieci wyznania mojżeszowego, jeśli jednak chodzi o wyznania chrześcijańskie nie-katolickie, to dzieci tych wyznań jest tak mało, że choć i one powinny wypełniać praktyki nakazane przez ich wyznanie, trudno, żeby się tem zajmowała szkoła. Jeśli w jakichś dzielnicach Polski są szkoły, gdzie dzieci nie-katolickich jest dużo, pierwsza głosuję za tem, aby szkoła wniknęła w wypełnianie przez nie obowiązków religijnych.

Nie przemawiam w imieniu p. Żyźniewskiej, ale nie wydaje mi się, by, twierdząc, że „ogół obowiązków życiowych” my, dorośli, spełniamy pod przymusem, myślała o „prawnych” obowiązkach i chciała je porównać do przymusu dobrych uczynków dzieci.

Wypełnianie obowiązków religijnych nie jest jeszcze „dobrym uczynkiem“, lecz tylko... wypełnieniem obowiązku, a że dorośli bez narzuconych kodeksów, praw zwyczajowych, względów przyzwoitości, lub obawy utraty harmonji z otoczeniem, nie spełnialiby połowy swych obowiązków, to więcej jak pewne. Bez przymusu, bez autorytetu rozumnego nie można myśleć nawet o wychowaniu młodego pokolenia. Kary cielesne, ślepe posłuszeństwo należą do minionej przeszłości, ale rozsądny przymus, który nawet nie potrzebuje być odczuty, jako przymus, nie będzie usunięty do tej pory, póki w sprawach wychowawczych decydować będą ludzie rozumni, a nie niebezpieczni eksperymentatorzy.

„Szkoła ma wychować obywateli świątłych, dzielnych i miłujących ojczyznę“, tak twierdzi p. Ferenc. Zgoda. Tylko różnię się z nim w wyborze dróg, do tego prowadzących. Pozostawienie spraw religijnych domowi rodzicielskiemu (tak pod tym względem, niestety, niekompetentnemu, jak na początku zaznaczyłam) uniemożliwi szkole osiągnięcie tego celu. Każda etyka ma źródło w jakiejś religji, wychować dziecko etycznie bez religji jest niemożliwością. A szkoła bez etycznego kierownictwa nie będzie instytucją wychowawczą, a tylko nauczającą. Da może wówczas społeczeństwu obywateli świątłych, ale nie dzielnych i miłujących ojczyznę, bo są to już wartości etyczne.

Spychanie całego trudu wychowawczego na szkołę, dla odciążenia rodziców, jest niebezpiecznym nonsensem, ale ujęcie szkole tak wielkiego atutu wychowawczego, jak religja, jest równie niebezpiecznym eksperymentem. Współdziałanie domu i szkoły jest ideałem, ale szkoła musi rozporządzać całokształtem środków pedagogicznych, żadnego z nich nie oddać do wyłącznej eksploatacji domowej. W przeciwnym razie brak jednego atutu unicestwić może pracę wszystkich pozostałych.

Jeżeli nie traktujemy religji i praktyk religijnych wyżej, niż lekcji gimnastyki, to nie traktujemy jej niżej.

Częstochowianka.

O pomoc doraźną (w odpowiedzi p. Mar. Mil).

Artykuł p. Mar. Mil. p. t. „Co radzić“, umieszczony w „Mównicy“, wywarł bezsprzecznie silne wrażenie na każdej czytelnicy, tem więcej, że autorka powyższego zapytania, bezradna wobec groźnej sytuacji życiowej, zwraca się do nas z prośbą o „parę słów zachęty, aby nabrała sił do dalszej walki o chleb powszedni“.

Gdy zaś uprzytomnimy sobie tę odwieczną prawdę życiową, iż „w nieszczęściu poznasz przyjaciela“, a także małoduszność i egoizm tych zajmujących wysokie stanowiska, do których zwracała się p. Mar. Mil. z prośbą o poparcie, a którzy, mimo łączących ich z p. Mar. Mil. przyjacielskich węzłów, pozostali głusi na jej nieszczęście — ogarnia nas, doprawdy, głęboki pesymizm.

Skąd płynie obojętność dla niedoli tej warstwy pracujących umysłowo, którzy w każdej chwili mogą znaleźć się „na bruku“, i jak temu złemu zaradzić?

Mamy wprawdzie w większych ośrodkach wojewódzkich i powiatowych t. zw. „Biura Pośrednictwa Pracy“, których zadaniem jest niesienie pomocy finansowej bezrobotnym, a przede wszystkim „wyszukiwanie“ pracy wedle zawodu; w stolicy naszej przy „Państwowem Biurze Pośrednictwa Pracy“ jest również dział pracy dla inteligencji. Sprawa jednak otrzymania posady, często z przyczyn niezależnych od Biura Pośrednictwa Pracy, wikła się i przedłuża, a tymczasem nędza i głód w domu nie cierpią zwłoki. Znałam wypadek w mieście P., gdzie zredukowany wyższy urzędnik z trojgiem dzieci otrzymał zawiadomienie z Urzędu Biura Pośrednictwa Pracy o posadzie — już po śmierci dwojga dzieci, gdy biedak sam dogorywał na łożu śmiertelnem. Radosna nowina nadeszła po upływie ośmiu miesięcy!

Są więc wypadki, które, jak widzimy, nie cierpią zwłoki w niesieniu pomocy, jak to miało miejsce z owym urzędnikiem w P. i z panią Mar. Mil., autorką „Co radzić“.

Nie pora rozwodzić się nad tem, dlaczego np. mąż p. Mar. Mil. nie zaasekurował się na wypadek nieszczęścia. Przeciwnie, uznajmy energję i silną wolę p. Mar. Mil., która umiała do czasu energicznie walczyć z przeciwnościami i, jeżeli zwróciła się do nas z zapytaniem, a zarazem z prośbą o kilka słów serdecznych, to chyba okoliczności życiowe zmusiły ją do tego. Nie zapominajmy również i o tem, iż p. M. M. jest matką, że nie ma środków do życia i zapłacenia za utrzymanie swego chorego męża w szpitalu!

Czas więc najwyższy na doraźną realną pomoc dla p. Mar. Mil. Zwracam się przeto z gorącym apelem do Szan. Czytelniczek „Bluszczu“ o tę pomoc. Niech sobie każda obmyśli jej formę, niech robi, co może. Niech jedna podtrzyma radą, druga poparciem, wystaraniem się o jakąś pomoc, zajęcie, ale niech każda coś robi.

Mam wrażenie, że p. Mar. Mil. nie weźmie mi ze złe, zarówno i Szan. Panie Czytelniczki „Bluszczu“ nie zignorują mej propozycji.

Białostoczanka — T. E. I.

P. Irena Kostecka — Helenów (w odpowiedzi P. N. N. z Poturzyzna.)

Zawiadam Szanowną Panią, iż zużyte znaczki pocztowe oraz staniolę przyjmuje na cel misyjny Sodalicia Klawerjańska, Kraków, ul. św. Marka l. 25, I piętro.

Od Redakcji.

Sz. Korespondentkę, która nadesłała fotografię bez podpisu i bez listu, prosimy uprzejmie o podanie nazwiska. Nie możemy odgadnąć, kogo przedstawia fotografia, gdyż stempel pocztowy na kopercie był nieczytelny. Inne panie, które dotychczas nie przysłały swych fotografii, prosimy o jaknajszybsze ich dostarczenie.